AS



Nr. 35
27 SIERPNIA 1939 R.
CENA 40 GROSZY

WODNA PANNA

NAPISAŁ: LOU-LOU

Oj te kobiety... kobiety...

HUMORESKA

— Wiesz, nic tak nie kształci człowieka, jak podróże — sugerował mi przyjaciel. — Pomyśl sobie, inne kraje, inne strony, inni ludzie. Zwyczaje, obyczaje. Wolna przestrzeń, słońce, powietrze, morze. Kalejdoskop wrażeń. Radość życia...

— Słusznie.

— A np. takie Włochy! Capri!

— Tak, to musi być chyba cudowne.

— Cudowne? A dlaczego ty nie miałbyś tego spróbować? Właśnie moja Dzidzi wybiera się tego roku na Capri. Widzisz, ciężko jest podróżować samotnej kobiecie. Gdybyś pojechał, chętnie oddałbym ci ją w opiekę...

Popatrzyłem zdumiony na kolegę.

Za genjusza nigdy go nie uważałem, ale żeby wysyłać w daleki świat własną narzeczoną, sam na sam z przyjacielem... nie, to chyba ostatnie upały musiały mu w głowie wodę zagotować!

— A ty z nią nie jedziesz? — zapytałem.

— Nie... niestety... widzisz, teraz taka niepewna sytuacja... mnie trudno o urlop... no, zdecyduj się chłopie, dobrze?

Serce waliło mi jak młotem. Dzidzi znaliśmy wszyscy. Była to kobieta piękna w całem tego słowa znaczeniu. Szaleliśmy za nią, gdy studjowała medycynę, gremjalnie jawiliśmy się na jej promocji, a teraz nie było tygodnia, żeby który z nas, pod pretekstem jakiejś dolegliwości, nie odwiedził jej w szpitalu, gdzie od roku praktykowała. W białym kitlu lekarskim wyglądała naprawdę zachwycająco!

— No, powiedz — nalegał przyjaciel — pojedziesz z Dzidzi na Capri? Zrobisz to dla mnie?

— Hm... rozumiesz... ja też mam trudności — odpowiedziałem, siląc się, aby zachować możliwie obojętny wyraz twarzy. — Ale... spróbuję.

— A więc pojedziesz! — zawołał radośnie kolega.

— No, ostatecznie zrobię to dla ciebie.

Przez cały następny tydzień biegałem jak szalony po rozmaitych biurach, urzędach i kancelarjach. Składałem dokumenty, wypełniałem formularze, pisałem podania. Do *starostwa*, do *urzędu ewidencji ludności*, do *Komisji Dewizowej*, do *komisarza P. O. P.*, do... czy ja wiem, gdzie tam jeszcze!

Wreszcie nadeszła ta wymarzona, wytęskniona niedziela.

Kolega odprowadził nas na dworzec, wyszukał wygodny przedział, pobłogosławił na drogę i długo jeszcze stał na peronie, powiewając chusteczką w kierunku oddalającego się pociągu.

A ja byłem pijany ze szczęścia. Patrzyłem nieprzytomny w oczy Dzidzi. Rozmawialiśmy. O czem? Pojęcia nie mam. Żeby mnie kto dziś na kawałki rąbał.

Istnieje podobno jakieś przysłowie, głoszące, że *samą miłością człowiek długo żyć nie może.*

To przysłowie przypomniało mi się koło południa, gdy poczułem głód.

Sięgnąłem do zapasów.

— Wiesz, Dzidzi, mam tu doskonałą kiełbasę polędwicową.

— Kiedy ją kupiłeś?

— Wczoraj rano.

— Bój się Boga! I w taki upał ty chcesz się raczyć kiełbasą?!

— No, a dlaczegóżby nie?

— Nie słyszałeś nigdy o t. zw. *jadzie kiełbasianym?! O botulinie?!!* Czy wiesz, że jest to jedna z najgwałtowniejszych trucizn i tworzy się właśnie w nieświeżej kiełbasie?!! Radzę ci, wyrzuć to natychmiast!

Serce, zamiast kiełbasy, krajało mi się w plasterki, gdy wyrzucałem przez okno ten smakołyk.

— Ale bułkę z serem, to chyba wolno?... — zapytałem nieśmiało.

— Nie odradzam, ale i nie doradzam.

Głód przemógł. Chwyciłem bułkę i podniosłem do ust.

— Stój! Czy masz czyste ręce?

— Oczywiście, Myłem je przed chwilą — odrzekłem.

— Gdzie?

— No... w toalecie...

— W tym zbiorniku wszelkich najokropniejszych bakteryj?! Nie, kochany. Nie pozwolę ci niczego przełknąć, póki nie *zdezynfekujesz* sobie rąk kolońską wodą.

Zdezynfekowałem.

Zarówno bułka, jak i ser miały potem intenzywny zapach fjołków, lecz cóż robić? Głodny byłem. Mdliło mię, ale zjadłem.

Wieczorem przybyliśmy do Wiednia.

— *Frische Würstel!* Świeże kiełbaski! — wołał na peronie kelner restauracji kolejowej, ciągnąc na wózku dymiący i wcale apetycznie wyglądający towar.

— No, ale chyba teraz pozwolisz mi zjeść parę takich kiełbasek? Świeże są i hygienicznie podane. Jak sądzisz, Dzidzi?

— Owszem. Możesz spróbować. Uważam, że *mięso psie* ma również pewne wartości odżywcze...

— Psie mięso?!

— A czy masz tę pewność, że to jest cielęcina?

Dałem spokój kiełbaskom i do samego Neapolu żywiłem się tylko cukierkami miętowymi.

Siedziałem na swem miejscu jak na szpilkach. Ani razu nie wyjrzałem przez okno, aby zobaczyć majestatyczny krajobraz alpejski. Nie interesowały mnie laguny weneckie ani cuda Wiecznego Miasta. Zato pilnie przestrzegałem, ażeby nie dotykać twarzą poduszek wagonowych *(bakterje! wąglik!)*, nie jeść owoców *(dezynterja!)* i nie pić lemoniad *(sztucznie barwione!)*. Czegóż to nie robi się dla własnego zdrowia! I dla pięknej kobiety!

Wkońcu przybyliśmy na Capri i ulokowaliśmy się w hotelu.

— Teraz przedewszystkiem napijemy się wody — oświadczyłem Dzidzi, zadowolony, że się wreszcie długa i uciążliwa podróż skończyła.

— Wody?! Nic z tego nie będzie. Nie zapominaj o tem, że jesteśmy *na południu* i że spożywanie surowej wody jest tutaj niebezpieczne. Będziesz pił wodę, ale *przegotowaną.*

— Przegotowaną? Brrr... nie, to już wolę wino.

— Wina ci nie dam. W tak wysokiej temperaturze działa ono bardzo szkodliwie na *nerki*, a pozatem zawiera *garbnik*, który nader ujemnie wpływa na *proces trawienia.*

Dzidzi powiedziała to tak kategorycznie, że nie śmiałem oponować. Odtąd przez cały czas pobytu na Capri piłem każdego dnia po cztery szklanki ciepłej, przegotowanej wody. Mój Boże, strasznie to nie smakowało! Ale cóż? Za to miałem dowód, że piękna i ukochana kobieta troszczy się tak o moje zdrowie! Mogłem nie pić?

Zaraz następnego dnia po przyjeździe ubrałem się *na letnio*. A więc, białe spodnie, pantofle, siatkowa koszula bez rękawów.

— Idziemy na plażę, Dzidzi.

— Dobrze, ale nie w takim stroju. Masz przecież odsłoniętą szyję i ramiona.

— To i cóż z tego?

— Możesz doznać ciężkiego oparzenia *kończyn górnych*, a przytem narażasz się na ukąszenia jadowitych much.

— Jadowitych much?!

— Ma się rozumieć. Pamiętaj o tem, że jesteśmy *na południu.*

Z bólem serca włożyłem koszulę z długimi rękawami i zapiąłem ją wysoko pod szyją.

Nie wiem dlaczego, ale jakoś Capri nie wydawało mi się już tak pięknem, jak w pierwszej chwili, gdy na tę wyspę przybyłem.

Zeszliśmy na *Marina Piccola*, gdzie urządzone były kąpieliska.

Rychło prysły tutaj marzenia moje o *wylegiwaniu się na włoskiem słońcu.* Na polecenie Dzidzi musiałem przez cały czas siedzieć w cieniu wielkiego głazu. Jedynie nogi do kolan i ramiona po łokcie wolno mi było wystawić na *działanie promieni ultrafioletowych.* Ano wiadomo, niebezpieczeństwo udaru słonecznego, *erythema actinicum, solare!*

Los był jednak dla mnie łaskawy.

Nawinął się jakiś Włoch. Wkrótce porozumieliśmy się ze sobą. Pływał doskonale i zaproponował mi dłuższą wycieczkę pływacką na pełne morze.

— Nie podawaj mu ręki — ostrzegła nagle Dzidzi.

— ?

— Masz przecież skaleczone dwa palce.

— Nie rozumiem. Nie wiem, o co ci chodzi...

Ciąg dalszy na str. 12-ej.

ILUSTROWANY MAGAZYN TYGODNIOWY

ZAŁOŻYCIEL I WYDAWCA: MARJAN DĄBROWSKI
REDAKTOR: JAN MALESZEWSKI
KIEROWNIK LITERACKI: JULJUSZ LEO
KIEROWNIK GRAFICZNY: JANUSZ MARJA BRZESKI

ADRES REDAKCJI I ADMINISTRACJI: KRAKÓW, WIELOPOLE 1 (PAŁAC PRASY). - TEL. 150-60, 150-61, 150-62, 150-63, 150-64, 150-65, 150-66
KONTO P. K. O. KRAKÓW NR. 400.200.
PRZEKAZ ROZRACHUNKOWY Nr. 11 PRZEZ URZ. POCZT. KRAKÓW 2

AS

ILUSTROWANY MAGAZYN TYGODNIOWY

CENA NUMERU GROSZY 40
PRENUMERATA KWARTALNA 4 ZŁ. 50 GR.
CENA NUMERU W LITWIE 50 CT.

CENY OGŁOSZEŃ: Wysokość kolumny 275 mm. — Szerokość kolumny 200 mm. — Strona dzieli się na 3 łamy, szerokość łamu 63 mm. Cała strona zł. 600 Pół strony zł. 300. 1 m. w 1 łamie 90 gr. Za ogłoszenie kolorowe doliczamy dodatkowo 50% za każdy kolor. prócz zasadniczego. Żadnych zastrzeżeń co do miejsca zamieszczenia ogłoszenia nie przyjmujemy

Numer 35 **Niedziela, 27 sierpnia 1939** **Rok V**

ASY NUMERU 35-GO:



Fot. Schabenbeck, Zakopane.

Turysta, którego burza zastanie w czasie wycieczki w górach, narażony jest jak nikt inny na niebezpieczeństwo porażenia piorunem. W ubiegłym tygodniu grom uderzył w grupę turystów na zboczach Świnicy, powodując śmierć szeregu osób. Zdjęcie przedstawia innych turystów, podczas tej właśnie burzy (piorun uderza w Świnicę) na ścianie kominu Drege'a w partji Granatów.

PLACÓWKI DYPLOMATYCZNE W WARSZAWIE:

VIII. Ambasada SOWIECKA



W kole: Pan Prezydent R. P. prof. Ignacy Mościcki w otoczeniu członków rzadu przyjmuje na zamku w Warszawie listy uwierzytelniające od ambasadora sowieckiego min. Szaronowa.



Powyżej: Fragment dużego salonu ambasady, z meblami w stylu Ludwika XVI.

Po przerwie wznawiamy cykl opisów warszawskich placówek dyplomatycznych. Przerwa była spowodowana okolicznościami protokólarnemi. Jak zaznaczyliśmy na wstępie cyklu, każda placówka dyplomatyczna ma swoją rangę. Ambasady są wyższe od poselstw, a w każdej poszczególnej kategorji to przedstawicielstwo jest wyższe, którego kierownik wcześniej przybył do stolicy, gdzie jest akredytowany. Musieliśmy trzymać się kolejności opisów, zgodnej z protokółem dyplomatycznym. Gdy jednak przyszła kolej na ambasadę sowiecką, odbywał się tam właśnie gruntowny remont. Niesposób było jej „przeskoczyć", bo potem już niemożnaby do niej wrócić. Woleliśmy więc raczej nieco poczekać, by we właściwej chwili znów podjąć rozpoczęty cykl i teraz doprowadzić go już do końca.

Jak zwykle, tak i tym razem poprzedzimy opis pałacu ambasady sowieckiej w Warszawie krótkim zarysem dziejów tego przedstawicielstwa w naszej stolicy. Pierwszą misją sowiecką, jaka do Warszawy przybyła po traktacie ryskim, była delegatura Czerwonego Krzyża, mająca na celu wymianę jeńców wojennych. Na czele tej delegatury stała pani Pieszkowowa, małżonka słynnego pisarza Maksyma Gorkija. Misja ta jednak nie miała bynajmniej charakteru dyplomatycznego. Rezydowała w hotelu Rzymskim. Tam również ulokowała się pierwsza misja sowiecka już o charakterze dyplomatycznym. Nie miała nazwy poselstwa, lecz t. zw. „przedstawicielstwa pełnomocnego" („połpriedstwa"). Reprezentowała t. zw. jeszcze wtedy RSFSR, a jej kierownik o tytule „przedstawiciela pełnomocnego" („połpried") p. Jakób Karachan (po tatarsku: „Czarny książę") wręczył swe listy uwierzytelniające Naczelnikowi Państwa Józefowi Piłsudskiemu dnia 9 września 1921 r. Studjując w ówczesnym Piotrogrodzie w okresie pierwszej lutowej rewolucji, kolegowałem z p. Karachanem na uniwersytecie. Pamiętam, że p. Karachan już w owych czasach z lewego skrzydła mieńszewików-internacjonalistów przeszedł do stronnictwa bolszewickiego; stanął nawet na czele opozycyjnego jeszcze podówczes dziennika „Bolszewik", założonego przezeń organu oficjalnego stronnictwa.

Radcą przedstawicielstwa był p. Leonid Oboleńskij, potomek słynnej książęcej rodziny rosyjskiej, w której arystokracja rodowa łączyła się w rewolucyjną, bo jeden z Oboleńskich należał do „dekabrystów", którzy dokonali pamiętnego zamachu na „samodzierżcę Wszechrosji". Pierwszym sekretarzem zaś był p. Jan Lorenz, syn majstra łódzkiej przędzalni: „Leonhardt, Woelker i Girbardt". Również z tym dyplomatą sowieckim zdarzyło mi się kolegować i to dwukrotnie nawet. Najpierw w gimnazjum łódzkiem, które p. Lorenz ukończył ze złotym medalem, a potem na uniwersytecie petersburskim, który mnie się udało skończyć, a p. Lorenzowi nie, ponieważ w czasie wojny śwfatowej wstąpił ochotniczo do petersburskiej szkoły podchorążych artylerji t. zw. „konstantinowki", walczył bohatersko jako oficer artylerji w armji carskiej, by później nagle znaleźć się w pierwszych szeregach powstającej dyplomacji sowieckiej. Pierwszą jego placówką był Berlin jeszcze za czasów Joffego. (Wszyscy trzej wspomniani panowie mieli bródki. Pp. Karachan i Lorenz małe czarne, a p. Oboleński dużą rudawo-blond).

Jednocześnie jednak rezydowało wtedy w hotelu „Victoria" przedstawicielstwo pełnomocne Ukraińskiej Republiki Sowieckiej, którego kierownik p. Olelko Szumskij wręczył swe listy uwierzytelniające



Na lewo: Samochód min. Szaronowa wjeżdża do gmachu ambasady przy ul. Poznańskiej.



Na lewo: Fragment małego salonu ambasady, t. zw. „sali fjołetowej".

cówce w Chinach, dokąd go przeniesiono, do Warszawy zaś na jego miejsce przybył z Pragi i wręczył swe listy uwierzytelniające 30 stycznia 1930 r. Włodzimierz Antonow-Owsiejenko, niski pan w okularach, o siwej czuprynie i siwych wąsikach, b. kierownik operacyj wojskowo-rewolucyjnych w dniach rewolucji październikowej 1917 r. Sam go widziałem w owych czasach, jak na czele „krasnoarmiejców" zdobywał szturmem petersburski Pałac Zimowy, b. rezydencję carów rosyjskich, a następnie Rządu Tymczasowego. Niewiele przedtem opuszczał ją pośpiesznie szef tego Rządu, Aleksander Kierenskij, szybko siadając do samochodu, który pełnym gazem pomknął za miasto.

Antonow-Owsiejenko i jego małżonka szybko nawiązali kontakt towarzyski ze społeczeństwem polskiem. Za ich czasów stosunki poselstwa sowieckiego ze światem zewnętrznym były niezmiernie ożywione, jak nigdy przedtem i potem. W salonach przy ul. Poznańskiej przewijała się elita intelek-

Naczelnikowi Państwa Józefowi Piłsudskiemu dnia 17 października 1921 r.

Po roku oba przedstawicielstwa połączono. Na czele stanął już jako poseł nadzwyczajny i minister pełnomocny dotychczasowy radca p. Leonid Oboleńskij i w tym charakterze wręczył swe listy uwierzytelniające 4 stycznia 1923 r. Po niespełna dwóch latach, bo od 8 listopada 1924 r. zastąpił go na tem stanowisku p. Piotr Wojkow, bardzo wysoki, barczysty blondyn, o którym mówiono, że własnoręcznie zgładził cara Mikołaja wraz z rodziną. Gdy miałem odwagę w swoim czasie zapytać go oto, przyznał z całą szczerością, że był w owym czasie przewodniczącym Sowietu m. Ekaterynburga, gdzie rodzinę carską zgładzono, ale zapewnił słowem honoru, że nie brał w tym udziału i dowiedział się o wszystkiem dopiero po fakcie. W tym czasie jedyny raz Warszawa gościła oficjalnie sternika sowieckiej polityki zagranicznej, którym był wtedy p. Cziczerin. Przyjmował nas na konferencji prasowej jeszcze w hotelu Rzymskim. Min. Wojkow już wtedy powiedział, że niesposób, by poselstwo mieściło się nadal w hotelu. Jego ambicją było ulokowanie poselstwa w pięknym, własnym pałacu i tak się też stało. Na wiosnę r. 1926 gotów już był pałac przy ul. Poznańskiej 15, gdzie i nadal mieści się od owego czasu przedstawicielstwo dyplomatyczne ZSSR. Jest to przebudówka z b. gmachu gimnazjum gen. Chrzanowskiego.

Nie sądzonem wszakże było p. Wojkowowi długo tu rezydować. Już niemal w pierwszą rocznicę przeprowadzki do pięknego gmachu, na wiosnę r. 1927 p. Wojkow zginął w nim tragicznie od kuli emigranta rosyjskiego Borysa Kowerdy, który widział w p. Wojkowie, zgodnie z rozpowszechnioną pogłoską, mordercę b. rodziny carskiej i chciał być jej mścicielem. Skazany na 10 lat więzienia, Kowerda niedawno je opuścił. Zwłoki p. Wojkowa, zabalsamowane, były wtedy wystawione na pokaz w przedsionku pałacu przy ul. Poznańskiej.

Następcą p. Wojkowa w pałacu przy ul. Poznańskiej został od 11 października 1927 roku p. Dymit Bogomołow, zewnętrznie przypominający raczej zażywnego kupca, tęgi, przysadzisty z czarnemi, przystrzyżonemi wąsikami. Jego urzędowanie nie zaznaczyło się niczem szczególnem. Znacznie żywszą działalność rozwijał na swej następnej pla-



Na prawo: Na konsoli i stoliku w dużym salonie rozstawione są piękne egzemplarze ceramiki sowieckiej. Na ścianie obraz słynnego marynisty Ajwazowskiego.



Sala recepcyjno-balowa ambasady, t. zw. „sala biała" utrzymana jest w stylu secesyjnym.

tualna i artystyczna stolicy. Literatura, muzyka, teatr, film, taniec, świat naukowy był tam bardzo licznie reprezentowany. Niekiedy (jak np. podczas rautu na cześć pierwszego laureata konkursu chopinowskiego Oborina) bywało około tysiąca zaproszonych.

A jednak, gdy w okresie kulminacyjnym dobrych sąsiedzkich stosunków poselstwo sowieckie w Warszawie podwyższono do rangi ambasady, Antonow-Owsiejenko nie został ambasadorem; lecz odwołany do Moskwy wyjechał do stolicy. Pierwszym ambasadorem sowieckim w Warszawie został wysoki, bardzo przystojny brunet o czarnym wąsie i ognistych oczach Jakób Dawtjan, b. poseł w Atenach, który wręczył swe listy uwierzytelniające p. Prezydentowi R. P. 13 kwietnia 1934. Za czasu jego urzędowania przyjęcia stawały się rzadsze. Potem przyszedł znów moment żywszej wymiany kulturalnej i w warszawskim Teatrze Wielkim występowały z dużem powodzeniem dwie primadonny Opery Moskiewskiej: Barsowa (sopran) i Maksakowa (mezzosopran). Ambasador Dawtjan wydał na ich cześć raut i bardzo się niemi opiekował. I oto wkrótce dla jednej z nich porzucił swój wieloletni stan kawalerski. Pewnego dnia wyjechał do Moskwy, a potem już wrócił po ślubie z b. p. Maksakową, którą wnet podziwialiśmy w gronie pań ambasadorowych podczas dorocznego wielkiego galowego obiadu na Zamku, wydanego przez p. Prezydenta R. P. z małżonką na cześć korpusu dyplomatycznego. Wkrótce potem jednak min. Dawtjan wyjeżdża do Moskwy, by już nie wrócić do Warszawy...

W pałacu przy ul. Poznańskiej zapanowało dłuższe bezkrólewie. Na jakiś czas obejmuje kierownictwo ambasady, jako chargé d'affaires a. i. radca ambasady Winogradow, a następnie, gdy już nikogo z dawnych współpracowników min. Dawtjana nie zostało, p. Listopad.

Aż dopiero od niedawna — od 2 czerwca b. r. — mamy nowego ambasadora przy ul. Poznańskiej. Jest nim Mikołaj Szaronow, który, tak samo, jak jego poprzednik, był przedtem posłem w Atenach. Niskiego wzrostu brunet o nieregularnych rysach, lecz bardzo inteligentnych oczach, przywiózł ze sobą czarującą młodą małżonkę o niezmiernie cennych zaletach towarzyskich, o czem mogliśmy się przekonać na przyjęciu inauguracyjnem zaledwie przed miesiącem. Ujmująca gospodyni, urocza ciemna blondynka, włada kilkoma językami i wraz z małżonkiem usilnie uczy się polskiego.

Gmach ambasady sowieckiej tem się różni od innych rezydencyj dyplomatycznych w Warszawie, że zawiera zarówno sale recepcyjne, jak pomieszczenia kancelaryjne oraz apartamenty prywatne ambasadorstwa i mieszkania prywatne wszystkich urzędników ambasady oraz służby. Ma bramę i dwa wejścia: jedno większe jest czynne jedynie podczas wielkich przyjęć oraz dla odwiedzających ambasadora jego kolegów z korpusu dyplomatycznego; drugie zaś mniejsze dla zwykłych interesantów. Pierwsze ma wygląd normalny, drugie nieco swoisty i stąd rozmaite legendy na temat, że gdy się wejdzie do ambasady sowieckiej, już niesposób z niej wyjść o własnej woli. Coprawda, rzeczywiście, prawe drzwi mają zamek automatyczny. Dzwoni się, czeka na sygnał, poczem należy pchnąć drzwi. Wtedy zaś przybysz znajduje się w małym przedsionku. Ma przed sobą trzy ściany. W jednej z nich, przeciwległej do drzwi, jest okienko. Za niem rezyduje cerber, u którego trzeba się zameldować. On zaś telefonuje do odpowiedniego urzędnika po decyzję, czy interesant zostanie przyjęty. Otóż „niesamowitość" polega tylko na tem, że w owej chwili przybysz jest jakby w celi więziennej. Nie może wyjść, póki cerber nie naciśnie znów odpowiedniego guziczka.

Po wejściu bowiem drzwi zatrzaskują się automatycznie i nie można ich otworzyć, aż ceber sam tego nie uczyni. „Więzienie" jednak bywa krótkotrwałe. Po chwili bowiem interesant albo dowiaduje się, że nie będzie przyjęty, a wtedy drzwi przed nim same się otwierają, albo że będzie przyjęty, wtedy idzie na prawo i tam trafia do mieszczącej się na parterze poczekalni, ozdobionej portretami Lenina i Stalina, Mołotowa i Kalinina, popiersiem Lenina na cokole, pokrytym czerwonem suknem, a także licznemi fotografjami propagandowemi z ZSRR. Na stolikach moc wydawnictw propagandowych, przeważnie bardzo pięknie wydanych.

Podczas ostatniej mej bytności w ambasadzie sowieckiej słyszałem z poczekalni, jak w sąsiednim pokoju odbywa się lekcja polskiego. Głosik kobiecy, podobno pani ambasadorowej, powtarzał: „My czytamy, wy czytacie, oni, one czytają...".

Gdy mnie wreszcie poproszono do sal reprezentacyjnych, minąłem przez drzwi wewnętrzne bramę, a następnie wprowadzony zostałem od tyłu do hallu (do którego prowadzi podczas przyjęć lewe wejście frontowe), poczem udałem się na pierwsze piętro. U góry wiszą cenne obrazy, pochodzące ze słynnego petersburskiego (dziś leningradzkiego) „Ermitage'u". Jeden z nich jest starej szkoły rosyjskiej (Fiodorow), drugi holenderskiej (Wouvermans). Na galeryjce wiszą stare szkice mongolskie, a na dwóch postumentach kwiaty w dwóch starożytnych wazach o wielce kunsztownych płaskorzeźbach, przedstawiających sceny z legend starorosyjskich.

Stąd wkraczamy do „białej sali" o charakterze balowym lub recepcyjnym. Są tu meble białe ze złoceniami, wyścielane srebrzysto szarym jedwabiem. Portjery nieco ciemniejsze. Na stole blat z ceglastego marmuru. Na ścianie krajobraz K. Kryżyckiego, nowszej szkoły rosyjskiej. Zwraca uwagę misterna posadzka.

Przechodzimy następnie do „salonu czerwonego". Tej barwy są tu bowiem i tapety, i meble mahoniowe w stylu Ludwika XVI i ich jedwab. Stoły i konsolki mają blaty z różowego marmuru. Dużo tu ładnej nowoczesnej ceramiki sowieckiej oraz bardzo ładne pudełeczka, fabrykowane w podmoskiewskiej wsi Palech. Mają one na pokrywkach obrazy z legend rosyjskich, malowane prześliczną techniką minjaturową. Jest np. cykl fragmentów ze słynnej „Pieśni o wieszczym Olegu" („Kak nynie sbirajetsia wieszczij Oleg otmstit' nierazumnym Chazaram, ich sioła i niwy za bujnyj nabieg abriok on mieczam i pażaram"), albo taki np. bardzo znamienny: „Skaży mnie, kudiesnik, liubimiec bagow czto sbudietsia w żizni sa mnoju, i skorol na radost' swiriepych wragow mogilnoj pakrojuś ziemloju". „Powiedz mi, czarodzieju, ulubieńcze bogów, co się ze mną stanie w życiu i czy szybko ku radości okrutnych wrogów zasypie mnie ziemia mogilna"). Obok stoi arcypomysłowa i precyzyjna zabawka. Słowik, o naturalnem upierzeniu, śpiewa po nakręceniu długo i pięknie, popisując się najwymyślniejszemi trelami. Są tu obrazy nowsze i starsze, dające pojęcie o ewolucji malarstwa w ciągu półwiecza (np. Krasnowa z 1934 r. i Makowskiego z 1884 r.). Najcenniejszy jest tu jednak obraz słynnego marynisty rosyjskiego Ajwazowskiego z 1881 roku. Dywany perskie, zaścielające posadzki salonów, przedstawiają ogólną wartość 150.000 rubli. Są to wszystko okazy bardzo stare i misternej roboty.

Następny w amfiladzie jest „salon fjoletowy", tak nazwany według barwy tapet i obicia mebli. Tu meble są przeważnie miękkie, wyścielane, sporo obrazów: Gluczenki, Gibsza, Rożdiestwienskiego i Kryżyckiego.

Stąd prowadzą drzwi do dwóch jadalń, większej i mniejszej. W obydwu nowoczesne meble orzechowe. W dużej pejzaże i „martwe natury", tapety złocisto-bronzowe. W mniejszej takież meble, tapety w ciemnobronzowe wytłaczane desenie kwiatowe. Tu też znajduje się najcenniejszy obraz ze zbiorów ambasady, a mianowicie: „Kaczy staw" pendzla Jana van Eulena (1630—1693). Na kre-

Poniżej: Gabinet ambasadora z meblami w stylu „empire", na ścianie portrety Lenina i Stalina.





FRAGMENT DUŻEJ JADALNI AMBASADY: Na ścianie płaskorzeźba w drzewie przedstawiająca Kreml, na kredensie porcelana sowiecka z emblematami państwowymi.

Zdjęcia: Serwis Magazynu „AS".

densie lichtarze, wazy bronzowe. Obok gablotka ze staremi kryształami. Na niej waza „Delft". Na jednej ze ścian obraz p. t. „Kreml moskiewski", oryginalnie wyrzeźbiony w drzewie i kolorowany. Sporo porcelany. Jest czeski serwis do kawy, ale i porcelana oryginalna rosyjska, z wymalowanemi inicjałami ZSSR (na nieco starszej jeszcze RSFSR).

Szczególnie pięknie przedstawia się gabinet ambasadora, utrzymany w czystym stylu „empire". Wspaniała jest zwłaszcza szafa z politurowanego mahoniu i złotemi ornamentami. Tapety i obicia krzeseł utrzymane są tu w kolorze ciemnozielonym.

Zainteresowania ambasadora poznajemy z książek, przygotowanych na biurku. Są to dzieła przeważnie historyczne, ale jest również cała wielotomowa korespondencja petersburskiego jeszcze carskiego MSZ. Zresztą, zabiera się dopiero do pracy, która oby postawiła stosunki polsko-sowieckie na należytej płaszczyźnie. *H. L.*

STULECIE WIELKIEGO KSIĘSTWA LUKSEMBURG

KĄCIK FILATELISTYCZNY „ASA“












W miejscu, gdzie zbiega się granica Trzeciej Rzeszy i III Republiki, a wzgórza Ardenów tworzą południowo-zachodnią połać Królestwa Belgji, położony jest jeden z najmniejszych krajów Europy, który obchodzi obecnie 100-lecie swej niepodległości. To Wielkie Księstwo Luksemburg.

W r. 1839 kraj ten został podzielony na dwie części. Jedna z nich przypadła Belgji, a druga połudnjowa utrzymała swą niezależność polityczną. Stan ów utrzymał się do dzisiejszego dnia.

Hrabiowie na Luksemburgu odegrali dużą rolę w historji Niemiec, a niektórzy z nich jak np. Henryk VII zasiadali na tronie cesarzy rzymskich Narodu Niemieckiego. W r. 1354 hrabstwo Luksemburg zostało podniesione do godności księstwa przez Karola IV. W kilka lat potem zostało ono przyłączone do Burgundji. Zmieniało kilkakrotnie swych panów. Po Habsburgach zapanowali tutaj Hiszpanie (1555), aby z kolei zrezygnować ze swych wpływów na rzecz Austrji. Po rewolucji francuskiej zawładnął obszarami księstwa Luksemburga Napoleon, a po upadku Napoleona postanowiono na Kongresie Wiedeńskim, że każdorazowy król Holandji będzie równocześnie panującym księciem tego kraju.

Już jednak w r. 1839 mieszkańcy księstwa Luksemburga, wykorzystując rewolucję belgijską ogłosili niepodległość co nie zmieniło faktu, że księstwo pozostawało w dalszym ciągu w Związku państw niemieckich aż do r. 1866.

Zawierucha wojny światowej nie ominęła Wielkiego Księstwa, chociaż bowiem ogłosiło ono swą neutralność zostało jednak w r. 1914 zajęte przez wojska niemieckie. Przez dłuższy czas znajdowała się tutaj główna kwatera cesarza Wilhelma II i jego sztabu wojennego. Swój byt niepodległy zawdzięcza Luksemburg zwycięstwu państw koalicji. Dlatego też, chociaż większość z pośród 300.000 obywateli kraju mówi po niemiecku, sympatje ich skierowane są w stronę Paryża.

Pod względem obszaru jest Luksemburg mniejszy dwa razy od województwa śląskiego. Bogate jednak kopalnie żelaza i łupku, oraz żyzna ziemia zapewniają dobrobyt wszystkim mieszkańcom tego mikroskopijnego państwa. Armja składa się z jednej kompanji żandarmów, jednej kompanji ochotników, czyli razem z 9 oficerów i 350 szeregowców. Czuwają oni przedewszystkiem nad utrzymaniem ładu wewnątrz państwa.

Książęta, których portrety widzimy na znaczkach pocztowych, wydanych w tym miesiącu z okazji jubileuszu nosili prawie zawsze imię Wilhelm. Unia personalna z Holandją przetrwała do roku 1890. Gdy jednak zmarł Wilhelm III (1849—1890), na tron wstąpił Adolf z rodziny książąt Nassau. Panowanie jego trwało do roku 1905, a syn Adolfa — Wilhelm IV był ostatnim z męskiej linji tego rodu. Najstarsza córka Wilhelma — Marja Adelajda abdykowała w r. 1919 na rzecz swej siostry Charlotty (Karoliny), która teraz jeszcze nosi mitrę wielko-książęcą. Jest ona małżonką księcia Feliksa de Bourbon-Parma i szczęśliwą matką sześciorga dzieci.

3 sierpnia br. prezydent Francji Albert Lebrun złożył nieoficjalną wizytę książęcej parze i przyjęty został na zamku Berg. Ludność państewka, połączonego ścisłemi węzłami gospodarczemi z Francją i Belgją witała z entuzjazmem głowę potężnego państwa stojącego na straży pokoju w Europie.

Witold Horain.








Po obu bokach: Serja znaczków jubileuszowych z portretami książąt Luksemburg. U dołu: Znaczki z wizerunkami dzieci obecnie panującej w. księżnej Charlotty.

ROMAN BACH-ŻELEWSKI

PRZEKLĘTY

NOWELA

Uderzył kilkakrotnie krótką, czarną i pogryzioną fajeczką o brzeg szklanej popielniczki by wytrząsnąć popiół, poczem resztę wydłubał starannie jednym z pęku kluczy przyczepionych na łańcuszku do paska. Następnie wydobył z przepastnej kieszeni spodni zamykanej na amerykański zamek, sporych rozmiarów, w takiż zameczek zaopatrzony woreczek na tytoń, ongiś zdaje się zamszowy, dziś świecący i brudnobrązowy. Włożył do niego fajeczkę i starannie ją nabił. Z wszystkich jego ruchów było widoczne, że do czynności tych przykłada wielką wagę. Podałem mu płonącą zapałkę. Skinął mi głową i kilkakrotnie w charakterystyczny sposób pyknąwszy napełnił pokój niezbyt dla mnie miłym w zapachu dymem. Teraz dopiero się odezwał.

— To zabawne, ale ja, któremu życie nie poskąpiło silnych wrażeń w różnych stronach świata, teraz tu właśnie, w Polsce doznałem najciekawszej, jedynej w swoim rodzaju przygody.

Umilkł jakby zastanawiając się nad słowami, które ma wypowiedzieć, a ja pomyślałem sobie, że gdyby usłyszał go ktoś, kto go nie zna, uśmiechnąłby się chyba z niedowierzaniem. Istotnie silne wrażenie i przygody jakoś nie harmonizowały z zewnętrznym wyglądem mego towarzysza lat dziecinnych. Wprawdzie był dosyć wysokiego wzrostu i silnej budowy, ale cechą dominującą była otyłość. Zdawałoby się, iż jest to poczciwy, łagodny i dobroduszny grubas, który innych zainteresowań prócz dobrego jedzenia i wygody niema. Dopiero spojrzawszy w małe, jasnoniebieskie oczy można było ujrzeć przebijające przez nie: zdecydowanie, odwagę, bezwzględność, powiem nawet brutalność i stojący w pewnej sprzeczności z poprzedniemi cechami jakiś ciągły niepokój. Dłonie szerokie, o krótkich palcach, nerwowo jednak ruchliwych, mówiły to samo. Takim też był rzeczywiście, bo w oczach i rękach człowieka najlepiej przejawia się jego charakter.

Dla zneutralizowania zapachu dymu fajczanego zapaliłem papierosa, a tymczasem Maciek wsunąwszy się głęboko w fotel podjął przerwany wątek opowiadania. Głos miał niski i monotonny, niezbyt miły.

— Właściwie powiem ci szczerze, że głównie w tym celu odszukałem cię, by móc opowiedzieć to ciekawe zdarzenie tobie, który jeden jedyny znasz mnie dobrze, lepiej więc potrafisz ocenić ten dziwny zbieg okoliczności. W każdym razie jednak zanim przystąpię do właściwego opowiadania, przypomnę ci pokrótce dotychczasowy przebieg mego życia, którego zresztą znacznego odcinka nie miałeś sposobności poznać. Otóż pochodzę z rodziny więcej niż zubożałej, miejskiej, że tak określę w przeciwstawieniu do drugiej jej gałęzi, ziemiańskiej, żyjącej w jakim takim dostatku w naszem rodowem gnieździe Horoszy. Ojciec mój, człowiek niewątpliwie zdolny, ale prześladowany dziwnym pechem, chwytał się wszystkiego co się nadarzyło, ale zawsze gdy zdawało się, że wreszcie doprowadzi do celu i choć częściowo postawi na nogi nas troje, zawsze ostatecznie doznawał niepowodzenia. Rzecz prosta, w tych warunkach nie mógł być zrównoważonym, kochającym, czułym ojcem. Matka zaś, jakby zgaszona ciężkiemi stosunkami a przytem rzecz dziwna, pozbawiona zupełnie tego kośćca jakim jest w życiu kobiety potrzeba emanowania i chłonięcia uczucia, nie potrafiła wytworzyć w domu jakiejś cieplejszej atmosfery, która stanowiłaby dla ojca pewną przeciwwagę w jego niepowodzeniach, a dla mnie byłaby pewną więzią łączącą mnie z rodzicami. Była typem zimnej kobiety. Nic więc dziwnego, że to co mogło być we mnie przez miłość i wychowanie osłabione, stępione, rozwijało się swobodnie. Był to egoizm, brak jakiejkolwiek idealizmu, poszanowania dla wszystkiego co wzniosłe i piękne, gwałtowność oraz dziwny, niezrozumiały niepokój, który nie pozwala mi niczemu się poświęcić prawdziwie, lecz każe szukać ciągle czegoś nowego, ale zawsze czegoś co społeczeństwu ani nawet mnie samemu żadnego pożytku nie przynosi. Byłem zdolnym uczniem, wiem o tem, rokującym pod tym względem jak najlepsze nadzieje, lecz przerwałem naukę i gnany tym charakterystycznym niepokojem rzuciłem bez żalu dom i puściłem się w świat sam nie wiedząc za czem. Miałem lat czternaście. W normalnych warunkach byłbym za tydzień najpóźniej został złapany i odesłany do domu, ale właśnie w dwa dni po mej ucieczce rozpętała się wojna światowa. Nie będę ci opowiadał w jaki sposób po wielu nieopisanych trudnościach i ciężkich przeżycia dostałem się wreszcie do Ameryki Południowej. Tu wałęsałem się żebrząc, od czasu do czasu znajdując jakąś chwilową pracę, to znów jako pomocnik kucharza bity i łżony przez pryncypała tłukłem się na parowcach pływających wzdłuż wybrzeży amerykańskich. Zaniosło mnie wreszcie do Stanów, na Florydę i tu w jednym z luksusowych hoteli byłem boyem, ale ponieważ właściciel zorjentował się w mych uzdolnieniach, więc szybko zostałem urzędnikiem i w ciągu następnych kilku lat pracowałem w coraz lepszych warunkach materjalnych. Tymczasem doszły mnie wieści o wojnie odrodzonej Polski z bolszewikami i rzecz dziwna, ja który nie wiem co to jest sentyment zrozumiałem, że moje miejsce jest w ojczyźnie i rzuciwszy wszystko za zaoszczędzone pieniądze przybyłem do kraju. Odbyłem całą kampanję bolszewicką uzyskując Krzyż Walecznych, ale po wojnie niespokojna natura pchnęła mnie tym razem w szeregi Legji Cudzoziemskiej i to na lat dziesięć. Walczyłem z Riffenami, byłem ranny, potem chorowałem, wreszcie zostałem przeniesiony do Indji, do Mahé. Opuściłem szeregi w randze sierżanta i udałem się po nowe wrażenia do Afryki Południowej. Kopałem djamenty pod Kimberley, byłem kelnerem w Port Natal, a wreszcie zaciągnąłem się do policji w Kapstadzie i osiągnąłem szarżę oficerską. I tam doszły mnie wieści o naprężonej sytuacji w Europie i możliwości wojny. Jak widzisz zaraz zjawiłem się tu, ale niepotrzebnie bo Zaolzie bez mego współudziału już wróciło do nas. Tak się przedstawia w ogólnych zarysach moje curriculum vitae — urozmaicone, prawda? Ale teraz mogę już przystąpić do istotnej części mego opowiadania. Otóż nie mając co począć z sobą postanowiłem pewnego dnia udać się do Horoszy, której właścicielem jest daleki krewniak, wdowiec. Tłukłem się koleją długo, potem dobrych kilkanaście kilometrów chłopską furką, ale wreszcie wjechałem w zagaik, przez który przebijały już zabudowania dworskie. I tu doznałem dziwnego wrażenia, że okolicę tą już kiedyś widziałem, choć przecież nigdy tam nie byłem. Zapewne znasz to uczucie, bo chyba niema człowieka, któremu nie zdawałoby się czasem, że przeżywa jakieś zdarzenie po raz wtóry. Wrażenie to wzmogło się gdy wyjechaliśmy z zagajnika i o dwieście metrów ujrzałem jak na dłoni typowy kresowy obronny dwór staropolski, zachowujący ten swój charakter mimo zniszczenia i niewątpliwych przeróbek w ciągu wieków. Czułem jednak, że do całości coś tu brakuje, coś czego nie mogłem uchwycić. Nie będę ci opisywał przyjęcia jakie zgotował stary wdowiec nieznanemu i niezapowiadanemu krewniakowi. Gościnność jego harmonizowała z pełnem tradycji otoczeniem. Pociemniałe, drewniane stropy, meble stare i zniszczone, na każdem miejscu pamiątki z ubiegłych stuleci i na tem tle typowy stary szlagon. Razem tworzyło to wszystko piękny, niecodzienny obraz. Przy kolacji opowiadał mi o swem życiu. A więc w lecie oddaje się zwykłym zajęciom gospodarskim, natomiast w zimie dużo czyta i przepisuje kilka starych manuskryptów, które od pokoleń tam się znajdują. Obiecał mi je pokazać. Dowiedziałem się również, czego mi w ogólnym wyglądzie dworu brakowało. Oto ongiś był on otoczony czemś co możnaby nazwać palisadą i głębokim rowem, z którego został już tylko ślad. Staruszek był naprawdę miły i nie wiedziałem kiedy zrobiło się późno i trzeba było iść spać. Pościelono mi w pokoju mającym ten sam charakter staroświecki co i inne. Było w nim dwoje drzwi, jedne prowadziły do głównej sieni, drugie do dalszych pokoi. Znalazłszy się w nim doznałem znowu tego dziwnego wrażenia, że znajduję się w znanem mi otoczeniu, tylko tym razem tak intensywnego, że było mi wprost nieprzyjemnie. Chciałem jeszcze trochę poczytać, ale zmęczenie podróżą wzięło górę, zgasiłem więc zaraz naftową lampę i sam nawet nie wiem kiedy ze świata rzeczywistości przeszedłem w krainę marzeń. Uważasz jak pię-

knie to powiedziałem? Ale tym razem przeżycia moje trudno byłoby nazwać marzeniami, chyba raczej przykrą zmorą. Oto co ujrzałem we śnie, słuchaj uważnie. Znalazłem się w tym samym zagajniku, przez który przejeżdżałem w dzień, tylko teraz był jakby gęstszy. W mroku, był to bowiem późny wieczór, majaczyło wokół mnie kilkadziesiąt konnych postaci. Powiał wietrzyk usuwając trochę wbok liście i przez powstałą łukę padł na najbliższego jeźdźca odblask księżyca i zobaczyłem człowieka o wschodnim jakby typie, z którego twarzy przebijało okrucieństwo. Najciekawszy był jednak jego strój, taki jakiś dziwny, niewspółczesny. Ale w tej chwili spostrzegłem, że i ja jestem inaczej niż zwykle ubrany, miałem bowiem na sobie kontusz, spodnie wpuszczone w buty z cholewami a przy boku niesłychanie zakrzywione szablisko. Co jednak było w tem wszystkiem najbardziej uderzającem, to to, że ten drugi „ja" przyjmował te wszystkie tak odrębne od codziennych okoliczności, jako zupełnie zrozumiałe. Postaram się więc opowiedzieć co się działo nie z mojego punktu widzenia, lecz tego „ja" ze snu. Miotały więc mną uczucia gniewu i dzikiej chęci wywarcia na kimś, kto się tam we dworze znajduje zemsty, znęcania się nieomal. Byłem tak wzburzony, że z trudem łapałem oddech a czaszka zdawała się pękać pod uderzeniami pulsu w skroniach. Chcąc sobie przynieść ulgę szarpnięciem rozpiąłem ubranie pod szyją. Wreszcie uznałem chwilę za stosowną do działania i cicho rzuciłem — „Naprzód!" — poczem ścisnąłem kolanami konia i wynurzyłem się na odkrytą przestrzeń a za mną kilku konnych i kłusem, bez zachowywania ostrożności podjechaliśmy przed mostek przerzucony nad rowem otaczającym wraz z niskim wałem i palisadą z ciosanych pni uśpione, ciemne dworzyszcze. Wstrzymaliśmy konie, a jeden z moich ludzi przyłożył ręce do ust i krzyknął:

— Hej tam! Bywaj który!

W chwilkę później rozwarło się w furcie małe okienko i ktoś zaspanym głosem spytał:

— Coście za jedni?

— Nie poznajesz capie jeden? Toćże Jegomość pan staroście z Krasnówki! Na polowaniu zabawił nad czas i przenocowałby rad. Otwieraj, a chyżo!

— Już, już!

Zaskrzypiały rygle i brama się otworzyła, a ja z moimi wjechałem przez mostek. Ledwo minąłem wrota podszedł do mnie jakiś człowiek z płonącym kagankiem i kornie się skłoniwszy rzekł:

— Wybacz Wasza Miłość staremu, żem choć miesiączek na niebie, nie rozeznał kto zacz. Zaraz obudzę Ichmość Państwa i pachołków...

Nie dokończył bo ja nagłym ruchem wyrwawszy z olster krócicę palnąłem mu w pochyloną głowę. Na odgłos strzału, który widocznie był hasłem do natarcia, moi ludzie z dzikim wrzaskiem rzucili się ku zabudowaniom, a od zagajnika rozległ się tętent pędzącej co koń wyskoczy reszty oddziału. Wbiłem koniowi ostrogi w boki i w paru susach dopadłem wejścia do dworu. Zeskoczyłem z kulbaki i z gołą szablą w ręce rzuciłem się do drzwi. Z dziką ulgą przekonałem się, że nie były zaryglowane, pchnąłem je więc i wpadłem do sieni. Tu dwa gończe z warkotem skoczyły mi do nóg, ale nieomal w przelocie rozpłatałem im łby i pognałem dalej. Minąłem troje drzwi i dopiero czwarte otworzyłem uderzeniem nogi. Tuż za progiem zamajaczyła mi jakaś postać z krzyżem, o ile mogłem w mroku dobrze rozeznać, uniesionym nad głową, która chciała mi drogę zagrodzić. Ciąć już nie miałem czasu, pchnąłem więc rękojeścią w piersi, aż człowiek ten zatoczył się na boczną ścianę i tu dopiero runął na ziemię. Ale nie widziałem już co z nim się dalej działo, bo w tej chwili spostrzegłem w głębi drugiego człowieka, w koszuli tylko i spodniach lecz z szablą w ręce. Wyczułem, bo poznać nie mogłem, że to on, właśnie on! Dziki szał podniósł mi włosy, ale nim głos z siebie wydobyć zdołałem, tamten już skoczył ku mnie. Szable związały się w straszliwej walce prowadzonej w ciemności. Poomacku zadawaliśmy ciosy, poomacku odbijaliśmy je, czasem to jeden, to drugi ciął w powietrze. Tęgim szermierzem był mój przeciwnik, co tylko gniew mój i zaciekłość podniecało. Kto wie jednak jak ostatecznie skończyłaby się walka, gdyby nagle nie otwarły się w głębi drugie drzwi wpuszczając kogoś, kto dzierżył zapalony kaganek w ręce. Migotliwe światło padło na moją twarz i przeciwnik jakby w zdumieniu i przerażeniu cofnął się pół kroku wstecz opuszczając szablę ku ziemi. Ten moment zadecydował o wszystkiem. Zadałem straszliwy cios i człowiek runął bez jęku na ziemię. Ciężko oddychając rozejrzałem się napół przytomnie. jakby ze snu zbudzony, po pokoju. Był to ten w którym spałem, choć urządzony inaczej. Przez okno dochodził stłumiony hałas bitewny, wycie psów i pojedyncze wystrzały. Wzrok mój padł znowu na zabitego i teraz dopiero radość okrutna wypełniła mi serce. Uświadomiłem sobie, że cel swój osiągnąłem, dokonałem zemsty! Przy trupie klęczały dwie osoby, ów człowiek z krzyżem i kobieta trzymająca kaganek. W tej chwili uniosła właśnie głowę i spojrzenia nasze skrzyżowały się. Wydało mi się nagle, że ktoś do piersi wcisnął mi na miejsce serca kawał lodu, taką grozą napełnił mnie ziejący nieopisaną, nieludzką wprost nienawiścią jej wzrok. Tu sen mój urwał się, bo pod wpływem tego uczucia chłodu zbudziłem się nagle cały spocony, zadyszany, z bijącem gwałtownie sercem. Byłem tak zdenerwowany wyrazem oczu tej kobiety, że do rana już nie mogłem zasnąć. Naogół do snów nie przywiązuję żadnej wagi, ten jednak był tak plastyczny, tak podobny do realnego przeżycia, że nie mogłem się powstrzymać i opowiedziałem go staruszkowi. Reakcja jego zdumiała mnie. Spojrzał na mnie podejrzliwie, po chwili jednak na twarzy jego odbiło się szczere zdziwienie.

— Gdybym nie wiedział, że ty nie możesz znać szczegółów, które chyba mnie jednemu tylko są wiadome, to przypuściłbym, że chcesz sobie zakpić ze starca. Widzę jednak, że mamy tu do czynienia z czemś, czego pojęcie przekracza granice możliwości ludzkiego rozumu. Poczekaj chwilkę!

Wyszedł z pokoju tak charakterystycznym dla jego wieku szybkim drobnym kroczkiem, lecz wrócił po kilku minutach niosąc pod pachą zeszyt w sztywnej okładce. Był to podarunek dla mnie, przyniosłem go dziś ze sobą chcąc byś sam się zapoznał z jego treścią. To mówiąc Maciek podał mi leżący przed nim na biurku zeszyt.

Z zaciekawieniem otworzyłem go. Był to przepisany przez dziedzica Horoszy rękopis kapelana jego przodka z XVII wieku, przedstawiający ten odcinek historji rodu, na który autor patrzył własnemi oczyma. Przepisałem sobie tą jego część, która dotyczy opowiadania Maćka i dlatego mogę ją przytoczyć dosłownie. Otóż jej treść:

„Nie we wszystkiem mu (t. j. staroście, przodkowi Maćka) Bóg tak szczęścił. Z małżonki wywiódł synów dwóch, na Chrzcie Świętym imiona Ewangelistów Mateusza i Łukasza im dając. Rośli obydwa zdrowo, lecz zgoła różne charakterów symptoma okazując. Młodszy Łukasz z dziecka już w mądrości umysłu, dobroci serca i dzielności ramienia celował, będąc swym rodzicielom Boską nagrodą ich zacności. Ale że Pan w mądrości Swej nieogarnionej ludzkiemu umysłowi, jak nigdy nikogo samem nieszczęściem nie obarcza, tak i do szczęścia kroplę goryczy dodawa, ergo starszego Starościca Mateusza inszym cale niż Łukasza uczynił. I jemu mądrości ni fantazji rycerskiej nie brakło, lecz co u tamtego ku dobremu szło, u niego zło na oku miało. O sobie jeno myślał, Boga ni rodzicieli w czci należnej nie chował, radości żadnej w sercu nie miał, do korda a kufla był skory i innych władzy nad sobą uznać nie chcący sam też sobą rządzić nie umiał. A jak bracia obydwa w życiu różni byli, tak i w postaci nic podobnego nie mieli. Łukasz i mężem dojrzałym będąc iście młodzieńczą figuram zachował, Mateusz zasie umiaru w niczem nie mając otyłym się stał, chocia i tak na koń bez strzemion siadał. W miarę jak w latach wzrastał, z rokiem każdym większe Staroście i Starościnie strapienia przyczyniał. Służbę swą, obwiesiów spod stryka urwanych, po drogach gdzieś pozbierał, wszczynał po sejmikach i gospodach burdy, a że szermierz był przedni, przeto poszczerbił sporo szlachty, na cześć dziewczyńską rad nastawał i ciężkim okolicy całej się stał. Szacunek jeno a miłość powszechną do Starosty go chroniła. Nic nie pomogły ojcowe napomnienia i boleść. Milczał, jeno na lica zły gniew mu wypełzał. Nie tajno mi, że gdyby nie on, Starosta, któremu Bóg i tak żywota nie poskąpił, długo jeszcze mógłby śród nas miłujących przebywać, ale wstyd i zgryzoty sprawiły, iż krwią co mu do głowy uderzyła zatknął się. I tu nieszczęście przebrało miarę, bo gdy się starszy Staroście zwiedział, że ojciec w swej woli ostatniej jemu pierworodnemu jeno klucz Krasnówka, chocia bogaty, a Łukaszowi majętność całą z Horoszą przypisał, nienawiścią okrutną ku bratu zapłonął. Kilkakroć żądał odeń zamiany, ów jednakże niczego dla siebie niełasy, lecz dla synaczka jedynego Piotrka z miecznikówny Anny Lackiej wywiedzionego zachować pragnący, bo i brata nicpotem gniazda rodowego niegodnym osądzając, oddać nie chciał. I oto nocy jednej gdym utrudzon twardo spał, ze snu okrutny clamor mię porwał. Nimem się dorozumiał coś się dzieje i kaganek zapalił, w sieni szparkie krokim posłyszał. A izba moja łączyła sień z izbą Piotrka i dalszą, małżeńską Starościną. Zrozumiałem, iż napad to jakowyś i Krucyfiks ze ściany porwawszy ku drzwiom skoczyłem, by świętością znaku

Dokończenie na str. 20-tej.









Pan z BELL HOWELL'EM



Bil! Bil! — słychać zewszą na orłowskiej plaży. Krzyczą dzieciaki, szeptem powtarzają za niemi urocze mamusie, dla których zwrócenie na siebie uwagi „pana z Bell Howell'em“ czasami więcej znaczy, niż chwilowe powodzenie na dancingu nadbrzeżnej kawiarni.

— Bil? któż to taki? Czy to ten pan z kamerą filmową?

— Jakto... nie zna pan słynnego Bila? A może wie pan, kto to jest Mieczysław Bilażewski? Także nie? O, panie! zaraz widać, że nie chodzi pan chyba do kina i tu przyjechał pan pewnie dopiero przed godziną...

Pierwsze nie zgadzało się, drugie trafnie określało okoliczności, związane z mym przyjazdem nad polskie morze. W ciągu następnej godziny już wszystko wiedziałem o słynnym Bilu, który naprawdę zasługuje na to, by o nim obszerniej i częściej pisywano. Nieliczni bowiem wiedzą, iż jest to autor wybornych krótkometrażówek filmowych, podziwianych w kinach całego kraju, że wymienimy tylko „Lwów wczoraj i dziś“, „W porcie gdańskim“, „Szlakiem mew“, „Nasz port Gdynia“ i in. Zwykle jednak mało kto zwraca uwagę na szybko znikający napis, poprzedzający film, a głoszący, że autorem jego jest ten a ten... I tak dzieje się krzywda Bilowi. — Dziś podziwiam go przy pracy na plażach Gdyni i Orłowa. Imponuje mi jego spokój i technika, z jaką dokonuje zdjęć życia „na gorąco“. Posługuje się amerykańską kamerą filmową marki „Bell Howell“ prawdziwie po mistrzowsku. A przytem ten jego ujmujący uśmiech, który każdego rozbraja i ujarzmia — nawet... naszych brunatnych „przyjaciół“ w Gdańsku. To walor niezwykle cenny dla fotoreportera. L.



Na lewo od góry: Bil w przyjacielskiej pogawędce z dr. Azetem. — W czasie dokonywania zdjęć z regat żeglarskich. — Bil i jego ulubiony foxterier podczas wesołej zabawy na plaży orłowskiej.

Na prawo: „Pan z Bell Howell'em“.

Zdjęcia: Dr. AZET.

Dokończenie ze str. 2-ej.

— Jeśli nie rozumiesz, to popatrz na głowę tego twojego kompana.

— Na głowę? Nic nie widzę. Poprostu... łysina...

— Tak, łysina. Ale jaka?

— Jakaż może być łysina? Normalna...

— Przypatrz się lepiej. Ten pan ma *łysinę plackowatą!*

— Plac-ko-wa-tą?!

— Tak. Widzisz przecież, że włosy wypadają mu takimi płatami jakby chorował na *grzybek*.

— No tak, ale o czem to świadczy?

— Medycyna określa to jako: *alopecia syphilitica cirmumscripta vel areolaris.*

Zrobiło mi się słabo. Momentalnie straciłem ochotę do pływania i wogóle do kąpieli w morzu.

Wieczorem poszliśmy na dancing do baru „Pod Kocurkiem Hiddigeigei". Lokal wcale sympatyczny. Muzyka niezła. A przedewszystkiem ten rozkoszny chłód wieczorny, po upalnym dniu...

Jakaś czarnooka Włoszka rzucała mi takie powłóczyste spojrzenia, że zdecydowałem się opuścić na chwilę moją ukochaną i zatańczyć z *signoriną* tango.

— Nieźle się prezentowała ta twoja partnerka — zauważyła spokojnie Dzidzi, gdy wróciłem do stołu.

— A wiesz, strasznie ogniste są tutejsze kobiety. Ta np. z którą teraz tańczyłem, drżała przez cały czas w moich ramionach.

— Sądzisz, że to z powodu bliskości twojej osoby?

— Hm... nie wiem...

— A czy widziałeś jej oczy?

— Owszem. Takie wielkie, wyraziste.

— Typowy *parkinsonizm.*

— Co to znaczy?

— *Stan pośpiączkowy.* Ludzie, którzy przeszli śpiączkę, cierpią potem na drżenie całego ciała. Dość często kończy się taki *parkinsonizm* uduszeniem chorego.

Ogarnął mnie jakiś smutek na tym całym dancingu. A gdy na domiar złego Dzidzi zabroniła mi zjeść porcję lodów *(podejrzane ingredjencje!)*, zaproponowałem pójście do domu.

Wogóle, po tygodniu pobytu na Capri dziwnie jakoś zobojętniałem na piękno otaczającej mnie przyrody. Nie zachwycała mnie już *Grotta Azzurra,* nie pociągała *Grotta Meraviglioso* ani *Faraglioni.* Nie znajdowałem niczego ciekawego w *Grocie Różowej* czy *Zielonej.* Słynna *Casa San Michele* wydała mi się tylko zwykłą, małomieszczańską siedzibą, a ruiny *Villae Jovis* na *Monte Tiberio* kupą zwyczajnych gruzów.

Również życie przy boku ukochanej kobiety nie miało takiego uroku, jaki sobie wyobrażałem, jadąc z Dzidzi na Capri. Chodziłem przy niej smutny, apatyczny i zamyślony. Stale zapięty pod szyję. Cztery razy dziennie piłem szklankę ciepłej, przegotowanej wody, regularnie przyjmowałem posiłki, punktualnie o tej samej porze udawałem się na spoczynek i uważałem pilnie na to, co jem, co piję, gdzie chodzę i czego się dotykam.

Raz tylko, jakby promień słońca z poza szarych ołowianych chmur, zabłysła mi postać jakiejś młodziutkiej dzieweczki. Spotkałem ją, przejeżdżając kajakiem wzdłuż wybrzeża. Uśmiechnęła się do mnie, szczerząc dwa rzędy pięknych, białych ząbków.

Już miałem zacząć z nią rozmowę, gdy zmroził mnie spokojny głos Dzidzi.

— *Zęby Hutchinsona* — orzekła fachowo.

— ??

— Nierównomierne ułożenie *szkliwa.*

— Czego to dowodzi? — zapytałem zdziwiony.

— Zwyczajny objaw *wrodzonej kiły.*

Dziwna rzecz. Ogólnie uważa się Capri za najpiękniejszą z wysp włoskich. Poeci nazywają je *rajem zakochanych, przytułkiem stęsknionych serc* itp. Tymczasem dla mnie, już po tygodniowym pobycie na wyspie, była ona niczem innem, jak tylko zwyczajnem letniskiem. I to *niehygienicznem, niesanitarnem* i wogóle *niebezpiecznem dla zdrowia.*

Zato w przeciągu krótkiego czasu nauczyłem się już na pamięć, na czem polega *epilepsja,* jak się tworzy *rak,* jaki wygląd mają *prątki Kocha,* ile jest bakteryj w centymetrze sześciennym wody i gdzie gnieżdżą się *skrętki blade* w razie zaleczenia choroby. Wiedziałem, jaka jest geneza i rozwój *gruźlicy płuc i kości,* jakie są symptomy choroby *Basedowa, śpiączki, meningitis* i *Heine-Medina,* jak objawia się *skręt kiszek* i w jakich wypadkach następuje *paraliż.*

Ogół tych pożytecznych wiadomości uzupełniłem jeszcze w ostatnim dniu pobytu na Capri, w sposób zgoła nieoczekiwany. Oto gdzieś tam w zaułku pomogłem jakiemuś sędziwemu żebrakowi podnieść z miejsca dość ciężki tobołek.

— Źle zrobiłeś, dotykając tego człowieka rękami — zauważyła Dzidzi.

— Dlaczego?

— To osobnik nietutejszy. Mocno podejrzany. Najprawdopodobniej przybył z Afryki. Miał przedramiona obwiązane jakimiś bandażami. Kto wie, czy nie... t r ą d.

— T r ą d?!! Wielkie nieba! Dzidzi, powiedz, ile wynosi okres *inkubacji zarazków trądu!!*

— To jeszcze nie zostało zbadane. Nauka zna wypadki, że dopiero po 13 latach od chwili zarażenia, następował rozwój choroby. Jeśli więc do roku 1952 nie wystąpią u ciebie objawy trądu, będziesz mógł mieć nadzieję, że żebrak nie był chory.

Zdaje mi się, że byłem jedynym i pierwszym człowiekiem w historji Capri, który opuszczał tę wyspę z uczuciem niewysłowionej ulgi. Nie chciałbym przesadzać, ale mam wrażenie, że żaden z zesłańców, powracających z Cayenny, nie odczuwał takiej radości i takiego zadowolenia.

Jeszcze, żeby szczęśliwie minęło tych 13 lat, przewidzianych na inkubację zarazków trądu!...

* * *

A jednak nic tak nie kształci jak podróże. Pomyślcie sobie, kochani Czytelnicy, inne kraje, inne strony, inni ludzie. Zwyczaje, obyczaje. Wolna przestrzeń, słońce, powietrze, morze. Kalejdoskop wrażeń. Radość życia!

Albo n. p. taki Egipt! Piramidy! Grobowce Faraonów!

Dzidzi wybiera się tam na przyszły rok. Gdyby kto z panów miał ochotę jej towarzyszyć, chętnie mu to ułatwię.

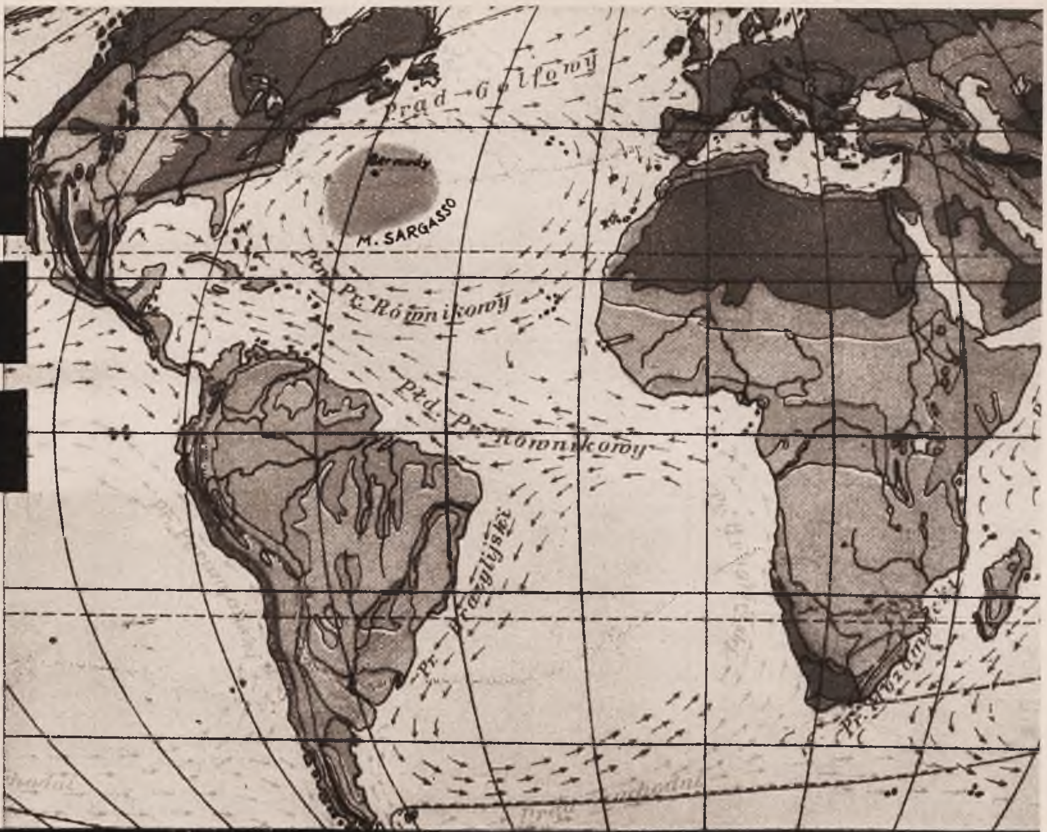
ULICA

Fot. E. i J. Mieroszewscy



Na WODACH CMENTARZYSKA OKRĘTÓW

Tajemniczy obszar morski, leżący na szlaku pomiędzy Starym a Nowym Światem, pokryty zwartą roślinnością glonów, z pływającymi pniami drzewnymi, naniesionymi prądami, był zarówno tematem wielu, niejednokrotnie bardzo fantastycznych opowieści żeglarskich. jak i dociekań naukowych, które starały się zbadać i wyjaśnić to niezwykłe zjawisko. Jest to t. zw. Morze Sargassowe, które obejmuje przestrzeń Oceanu Atlantyckiego pomiędzy Antyllami i Azorami. rozciągając się na północ od równika pomiędzy 30° a 75° dług. geogr. zachodniej.



Morze Sargasso, zwane „cmentarzyskiem okrętów" rozciąga się na Atlantyku w pobliżu wybrzeży amerykańskich (na mapie zaznaczone ciemną plamą).



Glony morza Sargasso z żyjącemi wśród nich zwierzątkami.

Obszar zajęty przez Morze Sargassowe jest olbrzymi: liczy bowiem ok. 6 miljonów km^2 powierzchni, a więc kilkanaście razy więcej od obszaru Polski.

Od zachodu i północy opływa Morze Sargassowe ciepły Prąd Zatokowy — Gulf Stream — biegnący dalej ku Europie i Grenlandji. W środkowej części Atlantyku prąd ten rozgałęzia się, płynąc ku zachodnim brzegom Afryki środkowej oraz otaczając drugą odnogą obszar Sargasso i wracając ku wybrzeżom Ameryki. Ten właśnie obszar ciszy morskiej, położony wewnątrz regularnych prądów morskich, pokryty jest roślinnością, a przedewszystkiem glonami rodzaju Sargassum, skąd poszła nazwa tej olbrzymiej wyspy roślinnej.

Przypuszczalnie już Kartagińczycy, posiadający swe kolonje na wyspach Kanaryjskich, wiedzieli o istnieniu Morza Sargasso. Z tego właśnie powodu uważali dalszą żeglugę na zachód za niemożliwą, utrzymując, że z tym obszarem kończy się ocean.

Pierwsze dokładniejsze relacje o tem tajemniczem morzu zawdzięczamy Krzysztofowi Kolumbowi, który w swej odkrywczej wyprawie w r. 1492 natknął się na Morze Sargasso. Jego dziennik podróży zawiera pod datą 16 września opis licznych pływających w morzu zielonych roślin. Zmęczona już długotrwałą podróżą i zniechęcona załoga statków Kolumba była przekonana, że są to oznaki niedalekiego już lądu stałego; potwierdzało to w ich oczach schwytanie kraba i coraz bujniejsza roślinność. Jeszcze jednak upłynął prawie miesiąc czasu, zanim flotylla Kolumba dotarła do wysp Bahama.

Obszar Morza Sargassowego nazywano nieraz „Le golfe des dames" ze względu na panujący spokój i ciszę, które pozwoliłyby na sterowanie statkiem nawet słabej kobiecie. Unikały tego obszaru zwłaszcza dawniej statki żaglowe, poruszające się jedynie siłą wiatru. Pas ciszy nie sprzyjał żegludze, a bujna roślinność również nie była pomyślnem i pożądanem zjawiskiem dla żeglarza.



Krab morski z wód Sargasso.

Znajdywane pnie drzewa i belki stały się podstawą niesamowitych opowiadań zabobonnych żeglarzy, według których głębie sargassowe stanowiły cmentarzysko dla tych żeglarzy i ich statków, którzy niebacznie zapędzili się na te niegościnne wody. Według innych opowiadań bujna roślinność Morza Sargassowego dawała schronienie bandom pirackim, uciekającym przed ścigającemi ich fregatami.

Roślinność Morza Sargassowego stanowią przedewszystkiem glony, a zwłaszcza glony Sargassum, reprezentowane kilku gatunkami, z których parę nigdzie indziej nie występuje. Zależnie od pór roku występują tu wyraźne zmiany, podobne do zmian, obserwowanych na stałym lądzie. Silny rozwój i wzrost glonów obserwować można od wiosny przez całe lato aż do jesieni, później wzrost ich słabnie, wreszcie w zimie następuje obumieranie starych roślin i na miejscu gęstych mas roślinnych występują tylko pojedyncze niezbyt wielkie skupienia.

Glonowe gąszcze sargassowe kryje w sobie bogaty świat zwierzęcy. Są to zarówno zwierzęta osiadłe, jak i przyczepiające się. Nie brak wreszcie i gatunków wolno pływających. Przedstawicielami świata zwierząt osiadłych są jamochłony, jak n. p. ukwiały, dalej mszywioły, wieloszczety, niektóre skorupiaki i mięczaki. Od czasu do czasu tylko przyczepiają się do glonów odmienne gatunki mięczaków i skorupiaków, a także interesująca rybka sargassowa Antennarius marmoratus.

Swobodnie pływają wśród łąk sargassowych różne ryby, a zwłaszcza tuńczyki i ryby latające, oraz nierzadkie kraby, odznaczające się dużą żarłocznością. Znany badacz głębin morskich Willi Beebe opisał maleńkie, bo zaledwie kilkumilimetrowe rybki, posiadające zdolność lotu na przestrzeni około 30 centymetrów. Są one ogromnie podobne do kulistych pęcherzyków pławnych glonów Sargassum i trudne do odróżnienia od tych nawet przez doświadczonego zoologa. Przekonał się o tem sam Beebe podczas jednego z połowów. „W ciągu pięciu minut" — pisze — „zrozumiałem, dlaczego przyrodnicy są chorzy na ostrą zarozumia-

łość i chroniczną skromność, gdyż z całą ostrożnością i zręcznością złapałem do słoika pięć „jagód" sargassowych, a przegapiłem cztery naśladujące je ryby". Zasługą tego badacza było również zbadanie jedynego prawdziwego owada morskiego Halobatesa, którego jaja znalazł na piórach morskich ptaków. Wśród zwierząt wolnopływających na Morzu Sargasso trzeba wymienić jeszcze meduzy, sprzągle, ślimaki pelagiczne i inne.

Ta znaczna ilość przedstawicieli świata zwierząt sprowadziła i ich wrogów. Są nimi drapieżne mewy i gapy czyli głuptaki. Ptaki te, należące obok albatrosów, fregat i kormoranów do najwytrwalszych w locie, natomiast na lądzie poruszają się bardzo niezgrabnie. Nietylko bowiem chodzenie, lecz nawet stanie przez czas dłuższy męczy je widocznie. Nazwę swą zawdzięczają temu, że człowieka się naogół nie obawiają i nie odlatują na jego widok, jak gdyby tracąc głowę. Żywią się one głównie rybami, za któremi wytrwale, a nieraz i głęboko nurkują.

Jak gdyby dla znalezienia schronienia i ratunku przed tymi nieprzyjaciółmi, unoszącymi się niezmordowanie w powietrzu i wypatrującymi za zdobyczą przeważna ilość przedstawicieli zwierząt sargassowych znakomicie przystosowała się do otoczenia tak barwą jak i kształtem swego ciała. Poza wspomnianemi już rybkami latającemi żywo przypominającemi jagody pławne glonów i inne ryby sargassowe upodabniają się plamistością swego ciała do otoczenia roślinnego. Pospolita rybka sargassowa Antennarius jest niemal nie do rozpoznania wśród glonów dzięki brunatnym okrągłym plamom, przypominającym „jagody" Sargassum i zdolności zmieniania barwy zależnie od podłoża. Również i jajka, które ta rybka składa wśród glonów, zarówno swą wielkością jak i ułożeniem przypominają pęcherzyki glonowe. Przystosowaniem barwnem odznaczają się i kraby sargassowe, a także i niektóre ślimaki, zwłaszcza Scyllea o charakterystycznych fałdach skórnych i wyrostkach; są to żarłoczne ślimaki mięsożerne, dzięki czemu zawdzięczają właśnie swą nazwę naukową. Scyllea bowiem była znanym mitycznym potworem o sześciu głowach, czatującym na przepływających żeglarzy.

Inne znowu ze zwierząt Morza Sargassowego są niezmiernie trudne do zauważenia przez swą przeźroczystość i niekiedy tylko pokarm, znajdujący się wewnątrz ciała takiego zwierzęcia może je zdradzić, lub barwa oczu; a ta przeważnie właśnie jest niebieska, co przy bardzo wyraźnie błękitnej barwie wody Morza Sargassowego stanowi często dalsze przystosowanie do otoczenia. Niekiedy, jak n. p. u niektórych mięczaków, ruch zwierząt przypomina kołysające się glony.

Morze Sargasso znajduje się ponad głębiami, sięgającemi 4 do 6 kilometrów. — W głębszych też warstwach wodnych żyje odmienny charakterystyczny świat głębinowy z licznemi głowonogami, skrzydłonogami, krewetkami i rozmaitemi rybami głębinowemi. W głębiach Morza Sargasso odbywa się jedno z najciekawszych zjawisk biologicznych, związane z wędrówkami węgorza.

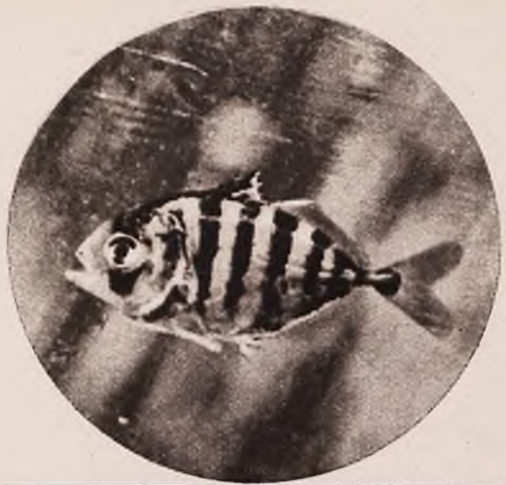
Nie dawno jeszcze życie węgorza należało do najmniej zbadanych. Zarówno jego tryb życia jak wygląd przypominający żywo węża, stały się przyczyną niezmiernie licznych legend i opowiadań rybackich wielu krajów. Nietylko kształtem i ruchami przypomina węgorz węża. Rzeczą niezmiernie ciekawą jest to, że krew tej ryby zawiera truciznę o podobnych do jadu węży własnościach. Zastrzyknięcie tylko 1/5 grama surowicy z krwi węgorza psu dożylnie powoduje jego śmierć po kilku minutach. Znane są również wypadki zakażeń i poważnych nieraz schorzeń u rybaków z chwilą, gdy do skaleczeń czy małych ranek dostała się krew węgorza. Dzięki temu, że jad ten ulega rozkładowi już w tem. 60 st., potrawy z węgorza są zupełnie nieszkodliwe dla zdrowia.

Węgorze zamieszkują rzeki i stawy prawie całej Europy. Znane są również i z innych części świata. W dzień zagrzebują się w mule, z którego wystaje jedynie głowa i koniec ogona. Ukrywają się również w korzeniach drzew, pod brzegami i w rozmaitych jamach, gdzie czatują na przepływającą zdobycz. Na żer wypływają dopiero w nocy, przeszukując najbliższe okolice za mniejszemi rybkami, raczkami, mięczakami i larwami owadów. Ofiarą ich żarłoczności padają nieraz także żaby, szczury wodne, a nawet młode kaczki i kurki wodne. W poszukiwaniu za zdobyczą zapędza się niekiedy węgorz i na przybrzeżne bagniska i łąki zwłaszcza, że do utrzymania się przy życiu wystarcza tym zwierzętom pewna wilgoć w otoczeniu; przed zbytnim wysychaniem chroni węgorze gruba skóra pokryta obfitym śluzem, a odpowiednio zbudowane skrzela pozwalają na obywanie się bez wody i przez czas dłuższy.

Przebywając w wodzie słodkiej, węgorze nigdy się jednak w niej nie rozmnażają. Po wieloletnim pobycie w rzece czy stawie następuje zjawisko pewnej metamorfozy: grzbiet węgorza ciemnieje, brzuch staje się zupełnie biały, a cała skóra przybiera jakgdyby metaliczny połysk, twardnieje i grubieje. Rozpoczyna się wędrówka ku morzom. W ciemne noce jesienne podążają węgorze w dół rzeki, gdzie czekają już na nie rybacy znający zwyczaje tej dziwnej ryby. Nawet węgorze, znajdujące się w zamkniętych stawach, kierowane nieomylnym instynktem i nieprzezwyciężonym pędem wychodzą ze zbiorników wodnych na zalane wodą łąki i wężowemi ruchami przemykają się przez nie, by dotrzeć do jakiegoś strumyka, który już je dalej zaprowadzi — ku morzu. Unikając dziennego światła i płynąc tylko nocą lub w pochmurne dnie deszczowne docierają wreszcie do ujścia rzeki, aby następnie zniknąć w morzu.

Doniedawna zupełnie nieznany był los tych węgorzy, które opuściły rzeki i podążyły do wód morskich. Pewną rzeczą było to jedynie, że nigdy już nie wracały one do wód słodkich, gdzie przeżyły większą część swego życia. Pierwsze rozwiązanie tego zagadkowego trybu życia węgorza dały włoskie badania z przed czterdziestu lat. Dopiero jednak powojenne prace duńskiego uczonego J. Schmidta bliżej oświetliły to zagadnienie. Okazało się, że dorosłe węgorze europejskie, a podobnie i węgorze z rzek północno-amerykańskich, przybywają do Morza Sargasso, gdzie składają jaja w głębokościach dochodzących do 1000 metrów. Z jaj tych wylęgają się drobne przeźroczyste

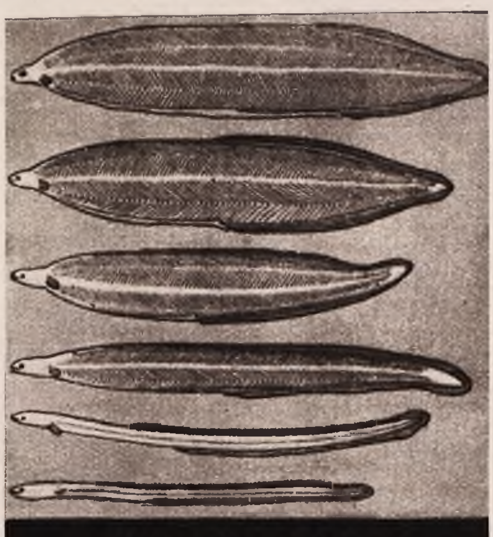
Dokończenie na str 31-ej.



Ryba Caranx, t. zw. Yellow Jack (żółty Jack) z morza Sargasso.

Poniżej: Rzadki okaz węgorza-albinosa.





Stadja rozwojowe węgorza.



Do brzegów Europy przypływają węgorze już całkiem rozwinięte.





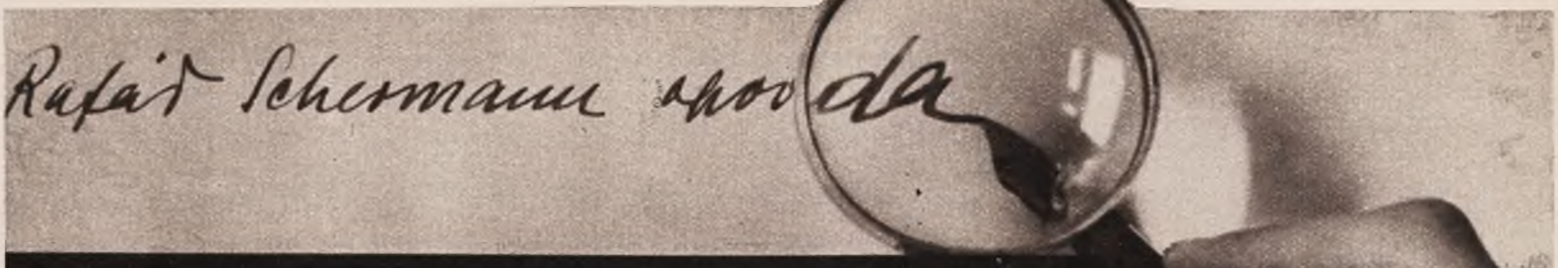
Taniec na wrotkach

Ktoś raz powiedział, że taniec akrobatyczny powstał niedawno jako nowa forma choreografji, że go stworzono dlatego, aby dać ludziom znudzonym klasycznym tańcem świeże wrażenia wzrokowe. Twierdzenie takie polega na nieporozumieniu, ponieważ i w tańcach klasycznych istniały figury akrobatyczne, ściślej mówiąc formy niektórych tańców rytualnych i ludowych oparte były na pewnego rodzaju akrobacji, że wymienimy tylko rzymski „taniec gladjatorów“, greckie żywe obrazy, perski „taniec derwiszów“ itd. Autorowi owego twierdzenia chodziło zapewne o coś innego. Chciał poprostu powiedzieć, że akrobacja taneczna jako widowisko sceniczne datuje się od niedawna i w tem się nie mylił. Nie można natomiast utrzymywać, iż intencją wprowadzających tę formę na scenę było usunięcie w cień zapomnienia form klasycznych jako nikogo już nie interesujących. Mówiąc bowiem o tańcu artystycznym, a nie o bezdusznej ekwilibrystyce, musimy pamiętać, że każda nowa forma, najbardziej nawet ekscentryczna, posiada swe źródło w klasycznej choreografji. Jako podstawa, na której twórca nowej formy buduje swój taniec, pozostanie zawsze klasyczny repertuar kroków i ruchów — ewangelja każdego tancerza, zarówno tego ze szkoły wielkiej Pawłowy czy Izadory Duncan, jak i wychowanka Lifara lub Ruth Sorel. Inna rzecz, że coraz rzadziej przychodzi nam podziwiać na scenie taniec naprawdę artystyczny. To, co demonstrują różne „sisters“ na deskach music-hallów, najczęściej mało ma ze sztuką wspólnego. Świat cały legł plackiem przed nową formą tańca, kolportowaną przez tancerzy z U. S. A. Na imię jej: Step. Ale czy jest to taniec? Zdania są bardzo podzielone. Jedni dopatrują się w stepie nowej formy ekwilibrystyki, drudzy uważają step tylko za składową część różnych koncepcyj tanecznych, których wartość kompozycyjna wzrasta w proporcjonalnym stosunku do talentu twórcy i wykonawcy. Reprezentantami pierwszego kierunku są przedewszystkiem kolorowi tancerze, których często oglądamy na ekranie — drugi kierunek jest domeną najlepszej pary tanecznej świata: Ginger Rogers i Freda Astaire. — Chęć uzyskiwania nawet w tańcu akrobatycznym wciąż nowej ekspresji powoduje, że tancerze nie zadawalają się już zwykłymi środkami techniki tanecznej i sięgają coraz częściej w dziedzinę cyrkowej akrobacji. Wyrazem tych dążeń było zagarnięcie na usługi choreografji wiernych form pewnych gałęzi sportu, jak np. jazdy na łyżwach i jazdy na wrotkach. Któż z nas nie podziwiał we filmie bajecznych popisów łyżwiarskich Sonji Henie i fantastycznych łamańców na wrotkach Freda i Ginger. Ale czy wówczas nie zaczęło w nas kiełkować pytanie: *Czy to jednak jest taniec?*

J. L.







Z TEKI PSYCHOGRAFOLOGA



AUTORYZOWANE TŁUMACZENIE JANA MALESZEWSKIEGO

W Karlsbadzie zgłosił się do mnie pewien kupiec z Pragi o poradę i napisał następujące słowa: „Posiadam skład elektrotechniczny i mam zamiar się ożenić".

Odradziłem mu małżeństwo, gdyż pismo mówiło, że w ostatnich czasach czuł się źle fizycznie i bardzo zeszczuplał, to też uważałem, iż powinien się poważnie leczyć. Wywnioskowałem również z pisma, że jest to człowiek, który z obawy przed zbytniem utyciem przeprowadza głodówki. Następnie oświadczyłem memu gościowi, że przed 5 lub 6 laty doznał podczas meczu piłki nożnej uderzenia w lewą nogę, co spowodowało wylew krwawy, zmuszając go do dłuższego leżenia.

* * *

Przyznał rację mojej diagnozie, prostując jednak, że wypadek na meczu piłki nożnej miał miejsce nie przed 6 a 10 laty.

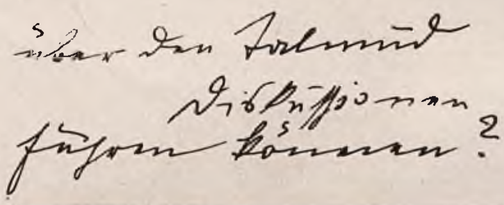
O wspomnianym wypadku wyczytałem z esów floresów przy literach E, G i A, nie robią bowiem one wrażenia sharmonizowanych z pismem. Górna część zawijasów przypomina wyciągnięte ramię sportowca, który łapie piłkę. Uderzenie, które otrzymał, wyraża się w literach pewnem ich skarłowaceniem. Tak np. w słowie „wird" 2 laski dolne są nierównej długości i ledwo zaznaczone, tak, że nikt nie odczyta w nich litery „W". Lewa laska, czyli pierwsza, jest ledwo widoczna, co wskazuje na to, że uderzenie nastąpiło w lewą nogę.

* * *

W Krakowie żyje pewien były generał armji austrjackiej, człowiek 60-letni, który w sposób niezwykle żywy zajmuje się okultyzmem. Jego młode usposobienie i żywe zainteresowanie się nauką czyni go niezwykle oryginalnym i ciekawym człowiekiem. Zjawił się on pewnego razu u mnie prosząc o poradę. Próba pisma jaką mi przedłożył brzmiała następująco: „Chciałbym chętnie nauczyć się hebrajskiego języka. Czy będę mógł prowadzić dyskusje na temat talmudu Kraków, dnia 12 kwietnia 1935 r. F".

Zdziwienie generała było niezwykłe gdy obejrzawszy jego pismo odpowiedziałem mu na jego pytanie:

— Opanował pan dotychczas przeszło sześć języków — począłem mówić, zanim miałem dojść do rzeczy, która mnie w jego piśmie na pierwszy rzut oka zaciekawiła. Język hebrajski nie jest pierwszą rzeczą, którą pan na marginesie swego właściwego zawodu zamierza się zająć, gdyż posiadał pan zawsze zainteresowanie do ciekawych rzeczy, które leżały poza pańskim zawodem.



Próbka pisma generała F.

Widzę z pańskiego pisma, że przed laty oddawał się pan wynalazkom, wskazuje ono na to, iż zajmował się pan wynalezieniem balonu. Balon, o którym pan wtedy przemyśliwał, posiadał postać cygara.

Usłyszawszy moje słowa gość mój skreślił następujące słowa:

— Jakim sposobem mógł pan z mego pisma wywnioskować, że zajmowałem się wynalazkami, a zwłaszcza wynalazkiem balonu w postaci cygara?

— Końcowy zawijas w pańskim podpisie znajduje się znacznie niżej niż cały podpis i posiada wygląd balonu, z którego wypuszczono gaz, a który skurczony, spoczywa na ziemi. Natomiast górny zakrętas litery Z przypomina sznur, który ma podciągnąć balon w górę. Ale — dodałem po chwili — chcę panu powiedzieć jeszcze coś ciekawszego: otóż przed 32—34 laty został pan, panie jenerale, uderzony końskiem kopytem w lewe kolano!

— Myli się pan! — zaprotestował generał. Nie pamiętam takiego wypadku.

— Nie mylę się bynajmniej, jak pan przypuszcza. Twierdzę natomiast, że uderzenie to nie pozostawiło żadnych poważnych obrażeń i cała sprawa skończyła się szczęśliwie.

Lecz teraz począł sobie mój gość coś przypominać.

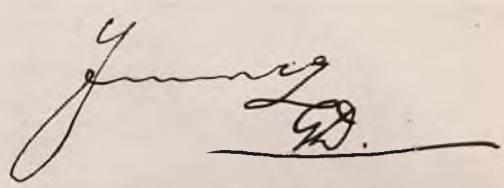
— Tak, tak, pan ma rację — rzekł zamykając oczy. Przeżyłem taki epizod, zresztą już dawno temu.

Rekonstruując przeżycia z przed trzydziestu lat napisał teraz na kartce następujące słowa: „Jestem niezwykle zdziwiony, że udało się panu odkryć wypadek spowodowany uderzeniem końskiem kopytem w kolano, co wydarzyło się przed mniej więcej 32—34 laty. Pańskie odkrycie jest tem ciekawsze, że panu najprzód zaprzeczyłem a dopiero później, gdy pan dodał kilka szczegółów, zdołałem sobie zdarzenie przypomnieć. Nie może być więc w tym wypadku mowy o telepatji. F."

Napisawszy te słowa zapytał mnie generał:

— Jak doszedł pan do tego wniosku o wypadku? Czy znalazł pan to również w piśmie?

— Oczywiście! Ale przejdźmy powoli słowo po słowie, a będę mógł panu to wytłomaczyć. Niech pan się przyjrzy słowu „Diskussionen", które pan przed chwilą skreślił. Chociaż pismo pańskie jest ogólnie biorąc zwarte i litery się ze sobą łączą, słowo to jest sześciokrotnie przerwane, zaraz więc odkryłem, że te przerwy oznaczają pewien



Podpis generała F.

dawno doznany szok, który pozostał w pańskim umyśle. Jak pan widzi są przerwy między literą „D" i „I", między „I" i „s", a następnie między literami „" i „k", „u" i „ss", „i" i „o", potem między „o" i „n". Podwójnie długie „S" przypomina nogi, że coś z tymi nogami się wydarzyło na to wskazuje następnia litera „i", która się kończy zakrzywieniem i zgrubieniem. Następujące po niem „o" jest u góry otwarte, gdy wszystkie inne „o" są u pana zamknięte. Litera ta budzi we mnie asocjację z kolanem, które doznało obrażenia: musiało to być kolano lewe. Przypatrując się pismu powstał w mej wyobraźni obraz spłoszonego konia, a zobaczyłem pana jako młodego człowieka, mniej więcej trzydziestoletniego, to też doszedłem do przekonania, że musiał pan być wtedy młodszy o jakie 32—34 lat.

Dokończenie na str. 20-ej.

SYLWETKI ★ ARTYSTÓW

Romana Pawłowska nie jest artystką popularną. Wśród publiczności i aktorstwa. Jest raczej nieznaną, a napewno niedocenianą. A przyczyną: charakter jej indywidualności i styl gry scenicznej. Bo Pawłowska zawsze jest jakby zagubiona w teraźniejszości, w rzeczywistości życia i sztuki. T. zw. życie codzienne jest dla niej takiem samem przeżyciem, jak gra sceniczna. Nie chce na scenie odtwarzać życia i nawet tego nie potrafi, bo ono jest dla niej teatrem, w którym fakta realne należy uteatralizować; nieskonkretyzowanym zaś uczuciom i niespokojnym wizjom nadać kształty jak najbardziej wymowne, przekonywujące. I żeby to wszystko było ładne i dobre, żeby wszystkich wzruszyło. A najważniejsze: — to wieczysty triumf duszy nad materją.

Pawłowska niewątpliwie poetyzuje życie codzienne, na scenie jest zawsze poetką. Talent wrodzony, technika nabyta — uczyniły z niej dobrą aktorkę. Szczególna jednak łaska naznaczyła ją stygmatem niecodzienności, niepokój zaś twórczy, nieustanne szukanie nowej i coraz doskonalszej prawdy, która kryje się chyba na pograniczu snu i rzeczywistości, uczyniły z dobrej aktorki jedną z najciekawszych indywidualności aktorskich w Polsce. Jeżeli nie tak wielką i silną, choć najbardziej mu stylem pokrewną, jak Stefan Jaracz, to dlatego, że Pawłowska na scenie jest uosobieniem subtelnej, niemal dziecinnej w swej dojrzałości — kobiecości. Jest także poetką i w formie scenicznego wyrazu. Nie znosząc nagiej prawdy, daje w swych rolach tylko jej iluzję. Charakter i styl każdej jej postaci scenicznej jest protestem przeciwko realizmowi, zwłaszcza wynaturzonemu w naturalizm. Pawłowska poddaje rzeczywistość pewnemu porządkowi artystycznemu, w każdym szczególe odkrywa jego wewnętrzną tajemnicę, każdy szczegół nasyca niespodzianką. Jak dziecko bawi się bajką i stwarza bajkę.



Romana Pawłowska

Niema monodramatów zwłaszcza z rolą dla kobiet. Aktor musi pracować w zespole. Inteligentna i karna poddaje się dyrektywom reżysera, choć czasem przełamie jego szablon i efekciarstwo, albo niedość pewną ręką skonstruowaną całość i wystrzeli ponad poziom przedstawienia niezwykłem zjawiskiem, jak to było w „Rabusiu" Czapka, czy w „Sercu Balbiny" Crommelyncka. Kiedyindziej jedna jedyna utrafi w intencję inscenizatora, czego dowodem była najlepsza w tonie stylizowanej groteski Zosia w „Krakowiakach i Góralach". Albo, zbyt posłuszna niefortunnym radom, przegra, nieodpowiednią zresztą dla siebie, rolę Celjany w „Jak wam się podoba" Szekspira.

Naiwna dobroć — to chyba podstawowy rys charakteru Pawłowskiej, rys, z którego rodzi się bezpośredniość i szczerość, dziecięce zaufanie, pogoda i radość uczuć, a także ich tragedja, gdy muszą stoczyć dramatyczną walkę z niezrozumiałą dla siebie brutalną rzeczywistością. Wtedy, albo giną niewinne jak Alina w „Balladynie" Słowackiego, czy Marja w „Małym domku" Rittnera. Albo łamią się w rezygnacji i szaleństwie jak Judytka w „Marfelli" Wintera lub Solange w „Lecie w Nohant" Iwaszkiewicza.

To są najwybitniejsze kreacje znakomitej Romany Pawłowskiej. Bo tu mogła wyżyć siebie, swój charakter i styl. Gdy sięgła po rolę Hani z „Głupiego Jakóba" Rittnera, dziewczyny jurnej i namiętnej, przebiegłej i bez skrupułów — przy dobrem aktorstwie zatarła prawdę roli, nasycając ją sobie właściwym ciepłym liryzmem, z nutą melancholji. Obok wymienionych już szczytowych osiągnięć artystki, pamięć widzów krakowskich przekaże historji aktorstwa jeszcze dwie kreacje: Hrabiny w „Weselu Figara" Baumarchais'a i Celimeny w „Mizantropie" Moliera. Arcydzieła kultury, stylu i poetyckiej prawdy o człowieku.

Pawłowska, zagubiona w teraźniejszości, jest prekursorką przyszłości sztuki aktorskiej. Dowiodły tego jej cztery lata pracy w krakowskim teatrze, skąd przenosi się obecnie do Teatru Narodowego w Warszawie.

Stan. Witold Balicki.

Dokończenie ze str. 18-tej.

Generał F. opuścił mnie pełen zapału do psychografologji, gdyż, mimo iż często zajmował się okultyzmem, nie zdarzyło mu się przeżyć takiego seansu. Gdy go następnie nieraz spotkałem na ulicy, zawsze schodziła nasza rozmowa na opisaną powyżej wizytę i zawsze wyrażał on swoje zdziwienie, że psychografologja może dawać dziś już takie rezultaty.

* * *

Było to rano w czwartek. W redakcji dzwoni telefon. Do aparatu zgłasza się sławny śpiewak Tino Pattiera, bawiący w przejeździe w Pradze.

— Czytam w gazecie, że Rafał Schermann był w Pradze. Gdzie znajduje się on obecnie? Czy może mi pan dać jego adres? Właśnie wyjeżdżam za kilka dni do mej jugosłowiańskiej ojczyzny i muszę pomówić z kilkoma moimi przyjaciółmi, którzy chcą namówić Schermanna na tournée po Jugosławji.

— Schermann wyjechał, ale mogę dać panu jego adres: — brzmi odpowiedź. Na kiedy mają przypaść odczyty Schermanna w Jugosławji?

— Na najbliższą przyszłość! — krzyczy w telefonie Pattiera. Nie wiem, zresztą, panie redaktorze, czy pan wie, że jestem gorącym entuzjastą Schermanna i co za niebywałe doświadczenia z nim przeżyłem?

— Nie, nie wiem o tem, oczywiście. A cóż to było, proszę pana?

— Wiele niesamowitych rzeczy. Np. spotkałem się z nim kiedyś w berlińskiej „Esplanadzie" w ogrodzie restauracji. Siedzieliśmy tam we troje, była z nami wdowa po mecenasie dr. Grünspachu. Niedaleko, w kącie, siedziało przy stole towarzystwo, z którego pewien dobrze wyglądający pan zwrócił uwagę naszej towarzyszki. Dyskutował on żywo z swym sąsiadem. Gdy pani Grünspach chciała dowiedzieć się kto to jest, odwrócił się Schermann, spojrzał na owego gościa restauracyjnego i obserwowawszy go chwilę rzekł: „Biedny szłowiek". — Dlaczego biedny? — zapytała pani Grünspach. A na to Schermann: — Najchętniej dowiedziałbym się od kelnera czy niema wśród gości lekarza, gdyż człowiek ten za kilka minut zwali się jak długi! On jest ciężko chory na serce.

Ja i pani Grünspach byliśmy tym razem przekonani, że Schermann się myli, gdyż „chory na serce" wyglądał świetnie i nie zdradzał żadnych objawów zbliżającego się ataku. Ale nie przeszło jeszcze 15 minut jak naraz usłyszeliśmy gwałtowny hałas i nasz sąsiad leżał na ziemi. Nasz podziw dla zdolności Schermanna odgadywania z twarzy przyszłego losu człowieka nie miał granic.

— Ale to jest poprostu niesamowite! odpowiada redaktor. Wiem, że Schermann jest naprawdę dziwnym człowiekiem, ale za każdym razem jak się słyszy o nowym jakimś doświadczeniu, jest się na nowo zafrasowanym.

— Ale przeżyłem z Schermannem jeszcze coś bardziej denerwującego! — ciągnie dalej swą opowieść Tino Pattiera.

Było to w Berlinie, wtedy kiedy Nobile przed swoim lotem na biegun północny przelatywał nad Kurfürstendammem. Znajdowałem się wtedy w towarzystwie Schermanna w ogródku jakiejś piwiarni. Berlin opanowany był istną gorączką a tysiące głów skierowanych ku niebu świadczyło o zainteresowaniu wielkim wyczynem Nobilego.

Gdy ludzie naokoło krzyczeli „Nobile! Nobile!", ja również poddałem się nastrojowi i pełen podziwu patrzałem na świetny napis „Nobile" znajdujący się na balonie a migocący w ciemni nocy.

— Najchętniej wziąłbym udział w tej wyprawie! — rzekłem wtedy do Schermanna. I ja chciałbym zobaczyć biegun północny! Słowa te wypowiedziałem raczej żartem, bo nigdy nie brałem udziału w takich ekspedycjach. Ale wtedy spojrzał Schermann ku niebu trzymając w ręku ilustrowane pisma, w których znajdowała się fotografja Nobilego z jego załogą oraz jego podpis.

— Nie powróciłby pan już z tej wyprawy — odparł Schermann z zamyślenia.

— Jakto? — spytałem.

— Widzę najwyraźniej z tego pisma, że balon już nie powróci z wyprawy, załoga znajdzie śmierć, a sam Nobile wróci jako kaleka.

Z początku nie wierzyłem jego słowom, a nawet traktowałem je humorystycznie, ale później począłem mu coraz bardziej wierzyć. Doszło do tego, że nieraz nie śmiałem się go o coś zapytać, gdyż bałem się dowiedzieć prawdy. To też opowiadałem chętnie o jego zdolnościach i teraz cała Jugosławja oczekuje jego przybycia. Tymczasem więc dziękuję, panu, panie redaktorze, za adres Schermanna i mam nadzieję, że wnet będzie pan mógł opublikować w swem piśmie sprawozdania z odczytów Schermanna w Belgradzie, Dubrowniku, Serajewie czy Zagrzebiu!

(Rozmowa powyżej przytoczona toczyła się między Tino Pattiera a redaktorem „Prager Montagsblatt" Ryszardem Bunzl).

Ciąg dalszy nastąpi.

Ciąg dalszy ze str. 10-tej.

do opamiętania jakowego gwałcicieli przywieść. Ale już drzwi naścieżaj się rozwarły i mąż, któregom w ciemności rozeznać nie mógł, w pierś mię pchnąwszy pod ścianę odrzucił. W tejże chwili od Piotrkowej komnatki wpadł Staroście z szablą w ręku i starli się. Walka była krótka, bo za mężem i Pani Anna weszła kaganek w ręku dzierżąc i terazem rozeznał napastnika, ale i Staroście go rozeznał i zdumieniem zdjęty szablę opuścił. Mateusz zaś — horribile dictum! — onże to był bowiem, ale daremny był trud, Staroście ducha już zbyt, co widząc Pani Anna ku zbrodzieniowi co jakby ohydą swego czynu zdjęty stał bez ruchu, uniósłszy się wyrzekła te słowa, ledwo głos z gardzieli dobyć mogąc:

— Obyś ty i cały twój ród za tą krew niewinnie rozlaną ni chwili pokoju i szczęśliwości nie zażył! Obyś i po złej śmierci wiecznie pokutować musiał!

Mówić dalej nie mogła, lecz palcem od krwi czerwonym weń mierzyła. Zbrodzień czy jej widokiem, czy słowy, czy czynem swym przerażon, jął ku drzwiom się cofać i znagła w sień uskoczył. Wraz usłyszeliśmy jak zbójców swych zwołuje a w pacierz na majdanie krom trupów a rannych nikogo nie było. Co się w Horoszy dalej działo bez żalu pisać nie mogę. Pani Anna cale nie po chrześcijańsku w nienawiści się zapiekła i Piotrka tak chowała. Com mógł tom robił, by ku Bogu ją skierować i Jemu odpłatę zostawić, ale ona w synu mściciela Łukaszowego mieć chciała. O zabójcy nic się zwiedzieć nie mogłem, bo onej nocy jeno wpadł do Krasnówki i łuby pobrawszy z pachołkami swymi znikł. Za czyn okrutny banitą i infamisem go obwołano. Dopiero w cztery lata pierwsza wieść przyszła. Oto jak opowiadał pan Andrzej Brochwicz co przy osobie Króla Jegomości, naonczas hetmana wielkiego, służbę miał, przed chocimską sprawą przywiózł z Niderlandów człowiek jakowyś pismo, którem Mateusz prosił hetmana, by za ojczyznę przeciw poganowi oponować się mógł pod przybranem imieniem, lub za hetmańskiem poręczeniem całości jego osoby. Hetman posłowi odrzekł, iż jeśli Bóg poszczęścić ma orężowi naszemu, to tylko naonczas gdy zacne dłonie dzierżyć go będą, nie Kainowe. I znowu lata szły, a o nim już ludzie jęli zapominać, jeno w Horoszy dawna nienawiść żyła. Piotrek krzepkim wyrastał młodziankiem i osiemnaście już lat liczył gdy Turek potęgą ogromną pod Wiedeń postąpił a Król Jegomość chrześcijańskim zapałem owian cesarzowi w sukurs iść postanowił. I Piotrek z godnym pocztem pociągnął a ja z nim, choć starość głowę mi ku ziemi chyliła, by młodziutkiej duszy jego strzec. Na Łęgu Tulneńskim to było, gdyśmy z cesarskimi i elektorskimi się połączyli. Król Jegomość przedniego zagończyka pana Jerzego Ruszczyca na podjazd pchnął, z którego wielki splendor na całe nasze wojsko spłynął, bo gdy Niemce darmo podjazdy śląc moc luda natracili, on i jednego człeka nie uroniwszy pięćkroć liczniejszego wroga w plen wziął. Tłumy cudzoziemskiego żołnierstwa patrzyły jako oni na on podjazd wychodzili z obozu dumnie a szumnie. Jam też stał, gdy znagła spostrzegłem pobok niemieckiego oficera okazałej postawy. Jakby grom we mnie trzasnął, bom wraz rozeznał w nim Mateusza. Wstrętem zdjęty przepchnąłem się ku swoim. Wnet jednak lęk mnie ogarnął, że Piotrek natknąć się nań może i naonczas jednemu z nich śmierć jest pisana. Przeto nie mieszkając ku cesarskich obozowisku kroki skierowałem, ale niełacno było mi się o Mateuszu przepytać, bo Niemce rzadko któren łacinę zna. Wreszciem namiot jego znalazł i z bijącem sercem jako w lwią jaskinię wszedłem. Siedział na pniaku przed pustą beczką co za stół mu służyła i z kufla piwo ciągnął. Nie zaraz mnie poznał, ale wnet z natury chmurne oblicze jeszcze się pochmurało. Prędkom rzecz mu całą wyłożył, iż w obozie jest syn jego ofiary i by bodaj tem przewinę swą okupił, że in casu jakowegoś starcia życie mu oszczędzi. Podumał chwilę poczem rzekł:

— Szukał go nie będę, ale jak mi z szablą się zastawi to i oszczędzał nie będę. Wiedz bowiem stary klecho, iż radbym jątrwi *) swej do żywa dopiec, bo życie całe mi urzekła. Toż ja lat już czternaście błąkam się po świecie i nigdzie przytulić się nie mogę. Z dalekich Niderlandów do Azjej pływałem, na hiszpańskich nawach co do Nowego Świata słano sługiwałem, u Brandenburczyka zaciężnym byłem, teraz zasie w cesarskiem wojsku a przecie zawsze fatum jakoweś zewsząd mnie rugowało. Chciałem krajowi przeciw poganom służyć, wzgardzono mną. Ożeniłem się, to piekła za życia doznałem. Czterech synów dochowałem się a już jeden w przerębli z koniem utonął, drugi zasie jadłem się zatknął. Najstarszy tu ze mną jest i złe przeczucia mnie gnębią. Tedy jako widzisz wiele mam powodów, by jątrew na jej szczeniaku pokarać!

Widziałem, iż nieużyty to a zatwardziały w grzechu człowiek, tedym poszedł. Przyszły pochody pod Wiedeń i nicem o nim nie słyszał. Nastał dzień walnej z wrażym wrogiem Krzyża rozprawy i Bóg w łaskowości Swej niepomiernej orężowi polskiemu wiekuistą chwałę dał. Własnemim oczyma widział jak husarska chorągiew królewicza Aleksandra, w której Piotrek towarzyszem pancernym był, w niezmierzone tłumy pogan jak pług w ziemię uderzyła i jako on skiby odwalając wskroś przeszła. Gdy niewierni w srogiem już pomięszaniu i uciecce byli, dopiero cesarscy i elektorscy się ruszyli. Victoria była jakiej świat nie widział a jam podwójnie się cieszył, bo i Piotrkowi ni włos z głowy nie spadł chocia tak mężnie stawał. W kilka dni dopiero zwiedziałem się co z Mateuszem słychać. Oto na Łęgu jeszcze w nogę się skaleczywszy znać jad jakowyś w krew wziął, bo napuchło mu i zczerniało, że na wóz legnąć musiał i pod Wiedniem w ogromnej gorączce

*) jątrew — bratowa.

Dok. na str. 31-ej.



ROMANTYCZNY ZAKĄTEK
Fot. Spehner, Strasbourg

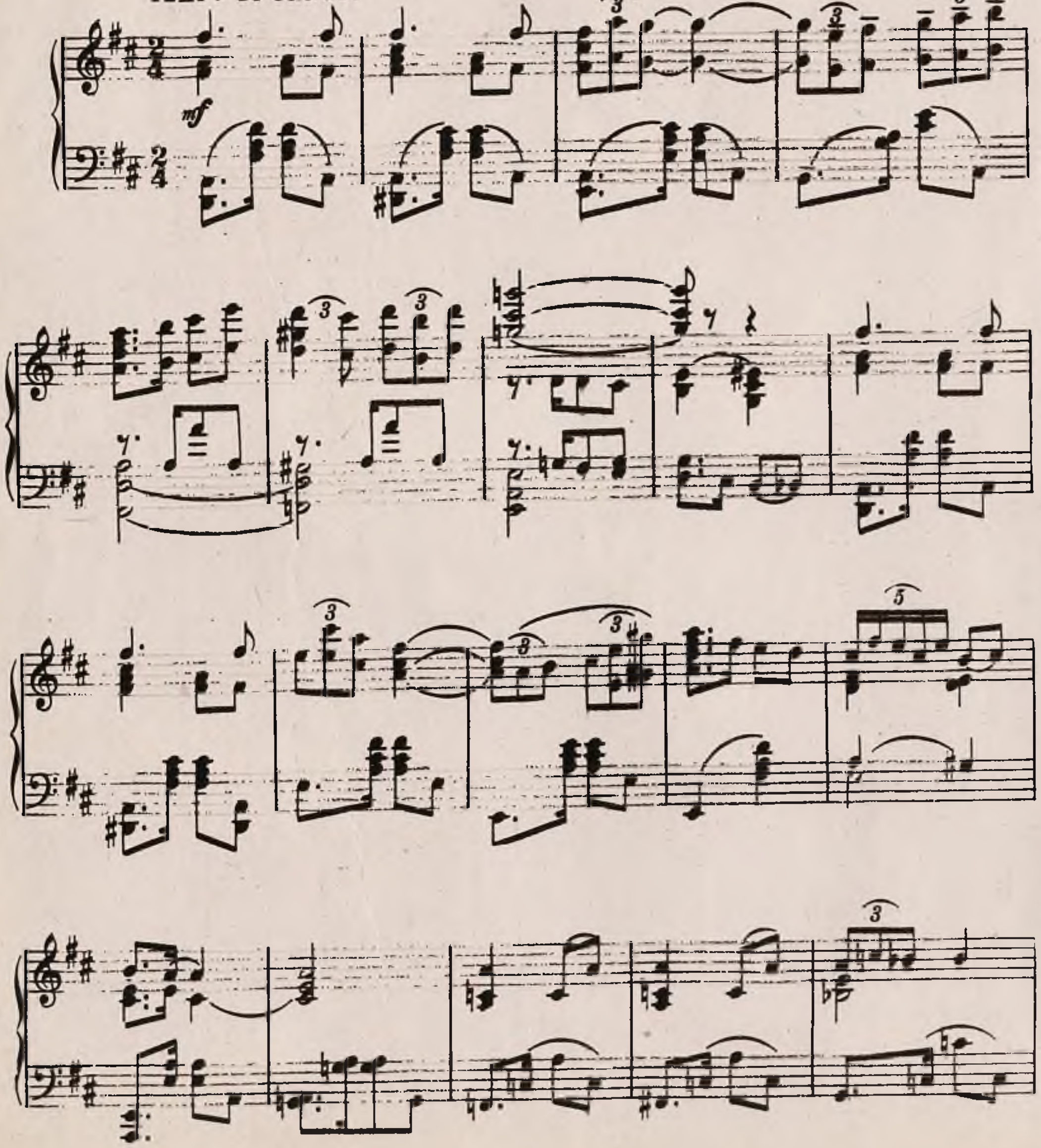


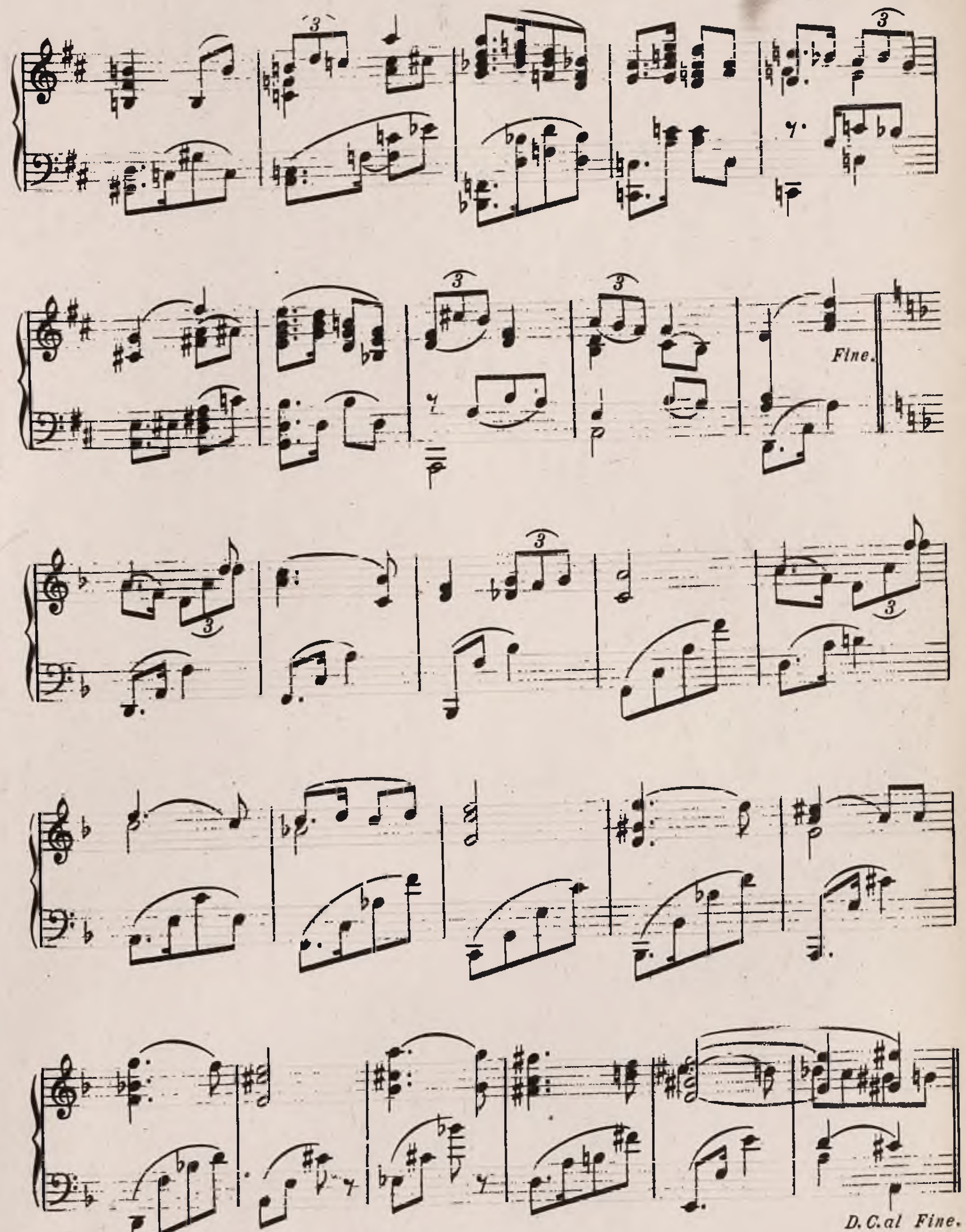
Grażyna

TANGO-SERENADA

KAROL STROMENGER

TEMPO DI TANGO.





WOJCIECH DZIEDUSZYCKI — *Malia* — OPOWIADANIE HAWAJSKIE

„Tak, tak, haole — biały przybyszu, niedobrze kiedy serce młodej kobiety jest sądzone przez stare głowy. Rozum starych głów jest suchy i wybielony, jak ich włosy, a serce młodej kobiety pełne krwi gorącej". Stary Kohakomu wypowiedział swoją perorę z miną zawodowego proroka. Wyblakłe, starcze oczy przykrył powiekami, a brunatny palec o żółtym paznokciu podniósł do góry. Przez chwilę trwał tak w bezruchu, a potem opuścił rękę i pogrzebał kciukiem i wskazującym palcem w małej miseczce — papaakai pełnej wodorostów — limu rozmoczonych w mleku. Wyjął kawałek przysmaku i z pełną godności miną włożył go do bezzębnych ust. Jedząc mlaskał z zadowoleniem, a zabrudzone palce wycierał w rude malo owinięte wokół kościstych bioder.

Zaległa cisza przerywana tylko szelestem rozwijających się w wieczornym chłodzie liści ogromnej ponciana regia, między której korzeniami siedzieliśmy. Po macie do siedzenia — tapa wędrowała ku mnie wielka barwna gąsienica, przyglądałem się jej w rozleniwieniu, czekając na dalsze słowa Kahakomu. Już od kilku dni spotykaliśmy się pod wielką poncianą i Kohakomu opowiadał mi wspomnienia z młodych lat i legendy rodzinnego Hawai. Z napuszonej i rozwlekłej paplaniny starca, wyławiałem ciekawe i nieznane przyczynki do historji, tego przez bogów obdarzonego archipelagu.

Z pod naszej ponciany roztaczał się wspaniały widok na strome, skaliste ściany ośnieżonych gór Nahali i dalekie lasy palmowe. W dole błękitniała zatoka Waihee z białymi płatkami żagli. Na rozległej polanie wokół ponciany pasły się pod opieką Kohakomu pełne temperamentu, nieduże, górskie koniki.

Starzec zmęczony upalnym dniem nie miał wielkiej ochoty zakłócać sobie przedwieczornego wypoczynku wynurzeniami. Nawet kilka kropel whisky, dodanych do mleka z limu, nie zdołały go pobudzić do opowiadania. Wygłaszał tylko przemądre sentencje i rozkoszował się lenistwem.

„Łzy skrzywdzonej wahine — kobiety, — zaczął znowu starzec, — gdy spadną na mężczyznę, to pamięć ich pozostanie długo. Nawet taki stary kanaka [1]) jak ja, pamięta dobrze łzy wahine z czasów młodości, kiedy jeszcze piłem samo whisky bez mleka, a kości ptaków iwi [2]) i akakene rozgryzały moje zęby tak jak dzisiaj łodygi limu...

„Ile ty masz lat, Kohakomu, jeżeli pamiętasz jeszcze czasy, kiedy żyły ptaki akakene?" — przerwałem elokwencję starca, bojąc się, że zasypie mnie nudnemi porównaniami swej piękności i siły do wszystkich mocy ziemskich i boskich całego archipelagu.

Stary zamyślił się, podrapał z zakłopotaniem w zmierzwioną, siwą czuprynę i wreszcie odrzekł z wahaniem:

„Oczy moje ujrzały wody kanału Milokai, kiedy nasi wojownicy zabili Żelaznego Haole".

„No, no, Kohakomu, to chyba twój dziadek urodził się wtedy. Żelazny Haole — odkrywca Hawai, Cook, został zabity w roku 1779, nie chcesz mi chyba tłumaczyć, że masz 158 lat?...".

„Może i mam, może i mam — mruczał urazony Kohamoku — widziałem i wielki gniew Pani Pele [3]) i humakele — pogrzeb kahuna-lapaana [4]), samej alii kapo — zwierzchniczki rodu Kamechumena [5]) i gościnę Mataafa, ostatniego króla Samoa i wiele, wiele innych rzeczy, o których pamięć już zaginęła, a które ja jeden mogę ci opowiedzieć... gdy zechcę...".

Stary był na dobre urażony. Aby go udobruchać dolałem mu do miseczki jeszcze parę kropel whisky...

„Dobre jest whisky, gdy się je zmiesza z kow-kow (używał chińskiego kow-kow, zamiast hawajskiej nazwy jedzenia: paina, ponieważ chciał zaznaczyć swoje obycie i „uczoność"), ale wtedy dopiero jest naprawdę dobre, gdy się je same wlewa w gardło!".

Widząc, że niema rady podałem mu butelkę. Przechylił wtył głowę i wlał łyk whisky prosto w bezzębne, szeroko otwarte usta, nie dotykając butelki wargami. Sapnął z zadowoleniem i odkładając flaszkę zaczął mówić:

„Powiedziałem ci już dzisiaj, że niedobrze kiedy starcy sądzą serce młodej kobiety... Tak miły haole, stary człowiek jak dziecko cieszy się gdy ma władzę, a jak dziecko łamie zabawki zrobione z kwiatów hibiskusa, tak starzec bez zastanowienia łamie piękne życie młodej kobiety... A Malia była naprawdę piękna... Oczy wszystkich były na nią zwrócone, wszyscy mi zazdrościli jej zręczności, gdy w czasie ślubu przechodziła przez ara tangata... Nie wiesz co to ara tangata? O haole! żywa droga, to stary zwyczaj wyspy Kratoga — oblubienica przechodzi do ślubu po barkach młodzieńców z rodziny narzeczonego. Malia stąpała przez ara tangata lekko i swobodnie, jakby szła po równej ścieżce nadbrzeżnej".

Stary zamilkł na chwilę, przymknął oczy i pochyliwszy się ku przodowi, przywoływał w pamięci uroczy obraz swej żony. Lekki powiew od gór Nahali przeginał wysokie trawy. Gąsienica, spacerująca po tapie, z mozołem przesuwała się między dwoma węzłami tkaniny, kierując się ku mojej nodze. Pochwyciłem ją za kosmaty, wygięty grzbiet i odrzuciłem w trawę.

Kahakomu ocknął się z zamyślenia:

„Malia była mojem szczęściem i ja sam zniszczyłem moje szczęście... Kobieta to krucha ozdoba naszego życia, nie można jej zostawiać bez opieki, gdyż lada potrącenie ją rozbije.

Byłem zapalonym wyśliwym. W górach Nahali żyło jeszcze wtedy moc zwierzyny. Bardzo lubiłem polowanie na małe górskie dziki. Całymi dniami tropiłem ich stada, a w noce księżycowe czatowałem u wodopojów na wychodzące odyńce. Żaden kamainatubylec nie był tak zręczny w rzucaniu oszczepem, żaden nie przebiegał mauka-gór tak szybko, ani tak jak ja nie spoglądał bez strachu w głębokie i ciemne pali-przepaście. Uśmiechasz się, patrząc na moje nogi i zeschnięte, stare ręce, a jednak i teraz żaden koń nie ucieknie mi z pastwiska. Moje zapadłe piersi chwytają jeszcze więcej powietrza, niż piersi niejednego młodzieńca, co w białych spodniach i koszuli spaceruje po ulicy Olakony [6]), udając białego. Zwyczaje białych osłabiły płuca i mięśnie ciemnych kanaka. Za czasów mojej młodości każdy z nas z nożem tylko spotykał się w morzu z hają [7]). Dzisiaj nawet z brzegu boją się go złapać na manai-i-ka-lanie — wędkę. A haje są teraz mniejsze i nie tak lubią mięso ludzi, jak za tamtych dobrych czasów...

Stary nagle jakby dla zedemonstrowania swej zręczności zerwał się z maty i z zadziwiającą szybkością pobiegł za srokatym konikiem, który nieznacznie oddalił się od stada. Kohakomu powrócił też biegiem, usiadł na dawnem miejscu i przez chwilę ciężko oddychał bez słowa.

„Całymi dniami, jak ci mówiłem, — ciągnął przerywanym przez zmęczenie głosem — a czasem i w noce polowałem w wysokich górach Nahali, zostawiając moją piękną żonę samą w chacie nad zatoką Waihee... Goniłem za małymi dzikami, a tymczasem do zatoki wpływał często biały yacht o wielu żaglach. Gdy wracałem do domu, zastawałem tam jasnowłosego Amerykanina. Uśmiechał się grzecznie, przepraszał, że pozwolił sobie zajść na chwilę do mojej chaty. Chata Hawajczyka jest zawsze otwarta dla gości i żaden przybysz nie zazna głodu w gościnie, więc cieszyłem się, gdy mogłem młodego haole poczęstować tłustą pieczenią z górskiego dzika. Haole w czasie posiłku opowiadał o białych miastach, wielkich łodziach i ognistych wozach. Wtedy jeszcze nie było na żadnej z ośmiu wysp Hawai ani jednego samochodu, a biali mieszkali w małych drewnianych bungalowach. Opowiadania haole wydawały się nam dziwnemi baśniami, a kiedy zaczynał niskim, grzmiącym głosem śpiewać pieśni zupełnie niepodobne do hawajskich hule, jakieś dziwne drżenie odzywało się w piersiach.

Myślisz, że byłem zazdrosny, gdy na pożegnanie gościa Malia sroiła jego ramiona w illima leisy [8]) i sama strojna w wieńce stała nad brzegiem i patrzyła za oddalającą się łodzią? Nie, bo wierzyłem żonie, a nawet cieszyłem się, że biały młodzieniec zabawia Malię w czasie, gdy ja przebiegałem góry za dzikami.

Raz zagnałem się daleko za dolinę Konomi. Nie pamiętam, ile wschodów słońca widziałem, czekając na dziki u wodopoju. Gdy wracałem, nie wiem czyje czary zmyliły moje nogi... Nie mogłem znaleźć ścieżki do domu i błąkałem się po górach przez długie godziny nocy. Dopiero kiedy La, bóg słońca obudził się i pozwolił światłu wejść na codzienną drogę, znalazłem i ja swoją ścieżkę. Zmęczony i zgłodniały biegłem z gór w stronę zatoki Waihee. Jeszcze daleko było do wioski, gdy usłyszałem przeciągłe dźwięki pule-hee pieśni zaklęć. Przyspieszyłem biegu zaniepokojony, bo czy to nie dziwne, kiedy pule-hee rozbrzmiewa w zwykły dzień i to po wschodzie słońca?"

Pytanie to zwrócił Kohakomu do mnie i przyglądał mi się z napięciem, jakby odpowiedź moja miała być dla niego wyrokiem. Nie wiedziałem, co mam odpowiedzieć, ponieważ nie bardzo orjentowałem się, dlaczego pieśń zaklęć śpiewana po wschodzie słońca mogła zaniepokoić myśliwca hawaj-

Dokończenie na str. 26-tej

[1]) kanaka=mężczyzna z wysp.
[2]) iwi i akakene — ptaki z wysp Hawaj o niezwykle twardych kościach dziś już wytępione.
[3]) Pani Pele — bogini ognia, Gniew Pani Pele — wybuch wulkanu.
[4]) kahuna — lapaan — lekarz.
[5]) Kamechumen — założyciel dynastji Hawai.
[6]) Olakona — stolica wyspy Lakanai.
[7]) haja — rekin.
[8]) illima leisy — wieńce pożegnania.



OSTATNIE DNI WAKACJI

Na cichej wsi. — Fot. inż. W. E. Chromiński.

Każda maszyna wymaga po pewnym okresie pracy odpoczynku względnie remontu. Podobnie jest z człowiekiem. Nie jest on niczem innem według zdania fizjologów jak tylko zwykłą maszyną hemotermodynamiczną. Wszystkie reakcje zachodzą w niej w sposób niezmiernie skomplikowany. Powoduje to daleko większe zużytkowanie się części składowych, a więc tkanek, nerwów niż w jakimkolwiek innym wynalazku nowoczesnej techniki. Potrzebuje zatem odnowy, restauracji utraconych w ciągu 10 miesięcy wytężonej pracy sił żywotnych. Ważne to jest zwłaszcza dla młodzieży. Przez odpoczynek na łonie przyrody i odprężenie nerwowe nabiera ona sił do żmudnej pracy na ławie szkolnej.

Wakacje to symbol radości, zadowolenia z życia i zapomnienia o troskach. Miasto to wizja powrotu do codziennych prac życiowych do trudów i zmartwień, które znaczą swe piętno bruzdami zmarszczek na twarzach obecnie beztroskich letników. Wizja ta staje się coraz bliższa. Im bliżej września tem bardziej przyobleka się ona w realne kształty. Nadchodzi jesień, a z nią koniec wakacyj. Z jej pojawieniem się pryska czar radosnej atmosfery wakacyjnej i staje się nieodwołalnym powrót do szarej pracy dnia codziennego w mieście.

Pola po żniwach opustoszały. Żółkną, tchną melanchilją i ciszą zapowiadającą długi sen zimowy. Drzewa w sadach uginają się pod ciężarem owoców, a wieczorami nad łąkami i polami unoszą się już srebrzyste mgły. Na razie jednak wykorzystujemy piękną pogodę, pławimy się w spienionych falach morskich i rzecznych. Opalamy się... Urządzamy wycieczki, które nas zbliżają do przyrody i pozwalają rozkoszować się pięknemi widokami natury. Przedewszystkiem jednak odsuwamy od siebie myśl powrotu do domowych pieleszy. Widok dworca kolejowego staje się przykrą marą senną. Dotyczy to zwłaszcza młodzieży szkolnej. Dla tej koniec wakacyj jest równoznaczny z powrotem na ławę szkolną. I znowu przez długie 10 miesięcy będzie odbywać dzień w dzień jedną i tę samą drogę, zajmować to samo miejsce. Im bliżej tedy końca wakacyj tem bardziej wzmaga się jej temperament. W końcowym etapie swego dwumiesięcznego „urlopu" usiłuje zażyć rozkoszy życia, odpowiednich jej wiekowi.



Sylfidy na huśtawce.

Poniżej: Morska wycieczka.

Beztroskie samopoczucie młodych latorośli wywiera dodatni wpływ na starszą generację. Idzie ona w ślad za młodzieńczą radością życia i w różnych rozrywkach odsuwa od siebie jak najdalej myśl powrotu do miasta. Każdy wiek ma swe prawa. Miejsce zabaw młodzieńczych zajmuje bridż, ulubiona rozrywka panów. Piękne panie opalają się na wyścigi, aby przypadkiem nie być mniej brązowe od tych, które zdążyły opalić się w promieniach lampy kwarcowej. Obok opalenizny panie zwracają główną uwagę na wyszczuplenie swej sylwetki. Stanąwszy bowiem przed lustrem niejedna letniczka konstatuje z przerażeniem, że dawno nienoszona suknia musi iść do krawcowej, ale... w celu poszerzenia. Nowe zmartwienie dla pani i pana domu. Nawet w tym wypadku nie jest to powód do złego humoru. Doskonałym środkiem zaradczym będzie tu codzienna gimnastyka poranna. Wpływa ona w znacznym stopniu na wysmuklenie sylwetki i dobre samopoczucie. Dlatego też każda z Czytelniczek „Asa" powinna oprócz przebywania na świeżem powietrzu i odbywania długich spacerów korzystać z gimnastyki porannej, zalecanej przez nasz Magazyn.

Tak upływają ostatnie dni lata aż w końcu przyjdzie dzień, w którym pryśnie czar wakacyj na przeciąg długich miesięcy zimowych. **St. St.**



WYŚCIG MŁODOŚCI...
Fot. dr. P. Wolff



Dokończenie na str. 23-ej.

skiego. Stary, widząc moją niezdecydowaną minę, kiwnął ręką z pobłażaniem...

„Tak, tak, ty tego nie wiesz, ale na Hawajach każde dziecko wie, że pule-hee śpiewana o tak niezwykłym czasie oznacza sąd, przyjazd króla [1]) albo inne nieszczęście...

Kiedy dobiegłem do polany, na której była moja chata, stanąłem przestraszony. Zebrała się tam cała wioska w odświętnych leisach, z kwiatami we włosach. W środku, w krąg, siedzieli najstarsi na czerwonych matach sądu.

Tulafale [2]) siedział sztywnie w peruce z bielonych wapnem włosów, przybranych czerwonemi piórami papug. Na wetkniętych w perukę drewienkach połyskiwały płytki perłowych muszli. Inni starcy — rady też byli przybrani uroczyście piórami świętych ptaków mamo i o-o. Flety — ukulei, piszczałki do grania nozdrzami kio-kio grały pule-hee, a kaekeekes, stary bęben z drzewa kokosu, opięty skórą hai, wybijał święty rytm pieśni, którą zawodzili wszyscy zebrani.

W środku kręgu starców — rady leżała mata sądzonego. Jego postać przesłaniał mi stojący czarownik. Nie zwykły huni, czy pahiuhiu [3]), ale sam najwyższy czarownik wybrzeża — Uli, który zna anaana — czary o śmierć, a nawet może zarządzić moepuu — ofiarę z ludzi.

Podbiegłem bliżej i nagle z za pleców Uli zobaczyłem na macie sądzonych Malię. Siedziała w przeźroczystej szacie rewarewa, przybrana hala-leisami, wieńcami z owoców smokowca, które ubiera się tylko w dnie wielkich zdarzeń...

Malia sądzona?!... Chciałem krzyczeć, ale apoleo, czar pozbawiania mowy, zamknął mi gardło. Wpadłem w tłum i zacząłem przedzierać się ku Malii. Moje pojawienie się zostało przyjęte pomrukiem zadowolenia. Pochwycono mnie pod ramiona, w jednej chwili przybrano hala-leisami i nim zdołałem ochłonąć, posadzono z oznakami czci wśród starców — rady. Flety i kio-kio przestały zawodzić i zapanowała cisza. Wszyscy patrzyli na mnie, czekając widocznie na moje słowa. A ja nie mogłem wydobyć się z pod czaru apoleo i milczałem jak ogłuszony.

Wreszcie przemówił wielki Uli: „Masz szczęście, o Kohakomu, wykryliśmy zdradę żony twojej z białym haole... Kiedy łódź jego oddaliła się od brzegów, schwytaliśmy twoją żonę i teraz możesz ją oskarżać przed sądem starców — rady. Słuchamy!"

Nagle odzyskałem mowę. Zacząłem zaklinać, krzyczeć, że nie chcę oskarżać mojej Malii, że ją kocham, żeby starcy nie mieszali się do mojej chaty, że nie rozumieją niczego...

Słuchali w osłupieniu i dopiero, kiedy zacząłem krzyczeć, że Malia jest niewinna, że to moja wina, bo zostawiałem ją przez długie dni i noce samą, a w końcu rzuciłem się na wielkiego Uli, aby uwolnić Malię, schwytano mnie i przytrzymano: „Pupule [4]), wołali, pupule! zwarjował z boleści, przytrzymajcie go, bo oszalał!".

Spętany z zakneblowanymi własnym malo ustami, musiałem siedzieć na macie oskarżyciela i patrzyć i słuchać, jak nic nierozumiejący, głupi starcy sądzili moją młodą żonę. Skazano ją na strącenie do zatoki hai...

Stary zwyczaj wymagał, żeby wiarołomną żonę strącał w paszcze rekinów pokrzywdzony mąż... Rrwałem więzy, kopałem i broniłem się związanymi rękoma, jak tylko mogłem, ale cóż mogłem poradzić spętany przeciw tłumowi żądnych „sprawiedliwości" kanaków. Wprowadzono skrępowaną świętymi tkaninami Malię na cypel skalny nad zatoką hai. U stóp prostopadłej skały w czarnej czeluści wodnej połyskiwały białe brzuchy niezliczonych rekinów... Zrzucano im tu codziennie ofiary z odpadków ryb i upolowanej zwierzyny, więc spływały zewsząd ogromnemi stadami.

Związaną Malię ustawiono na samej krawędzi skały i wśród dzikiej pule moepuu, mojemi własnymi rękoma wtrącili ją ci oprawcy do morza... Zakotłowały ciała hai i w mgnieniu oka z mojej pięknej, młodej żony została tylko ciemna smuga krwi na spienionej wodzie...

Porzucono mnie związanego nad brzegiem, tłum powrócił do wioski w radosnym nastroju. Leżałem bez ruchu i bez pamięci. — Słońce przeszło przez szczyt nieba i zmęczone spoczęło na szczytach Nehali. Powoli uwolniłem się z więzów, pozbierałem zerwane z Malii hala-leisy i poszedłem wzdłuż wybrzeża, nie wiedząc gdzie i poco idę. Nagle ujrzałem przed sobą białego Amerykanina z yachtu; biegł przestraszony widocznie, że nikogo nie zastał w naszej chacie. Gdy zbliżył się do mnie, wyciągnąłem ku niemu rozerwane hala-leissy Malii i wyrzekłem jedno słowo: „Pau — koniec..."

Stary zamilkł i wyblakłymi oczyma patrzył na zachodzące ze szczytu Nahali słońce.

Wstałem wolno i zacząłem schodzić kamienistą ścieżką ku zatoce Waihee. Po raz ostatni spoglądałem na czarujący zachód słońca na Hawajach, — w nocy odjeżdżałem w dalszą podróż po wyspach Pacyfiku.

. Gdy noc zaczęła zapadać na hibiskusowe i palmowe lasy a brzegi zatoki zginęły w mroku, bezwiednie szeptem powtórzyłem: — „Pau — koniec".

[1]) na przyjazd króla przygotowano wielkie przyjęcie, do którego potraw i napoi dostarczała miejscowa ludność, niejednokrotnie bardzo uboga.

[2]) tulafale — wódz w czasie pokoju, wybierany przez arystokrację.

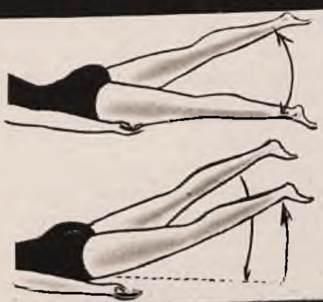
[3]) huni i pahiuhiu — czarownicy i znachorzy wioskowi.

[4]) szaleniec.

10 *minut* PORANNEJ GIMNASTYKI



Ćwiczenie pierwsze.



Ćwiczenie drugie.



Ćwiczenie trzecie.

Zbliżająca się jesienna pora posłużyć ma wszystkim do utrzymania organizmu w sile i zdrowiu przez cały rok, aż do ukazania się znowu promieni wiosennego słońca. Okres to długi, ale natura już tak mądrze urządziła, że dała nam wszelkie środki dla uzyskania tak wszechstronnych rezultatów.

Kto nie może pracować na wolnem powietrzu, ten powinien znaleźć czas wolny dla gimnastyki i sportów, które pożądany kontakt ze świeżem powietrzem czynią tem pożyteczniejszy, wpływając jak najbardziej dodatnio na ogólny stan zdrowia i sił.

Sporty są — rzec można — udoskonaleniem ćwiczeń gimnastycznych, są ich ukoronowaniem. Idźmy zatem do sportów poprzez ćwiczenia gimnastyczne, uprawiane codziennie, a w obecnej porze jeszcze na świeżem powietrzu.

Oto kilka ćwiczeń, które mogą doskonale poprawić poszerzone może nieco wskutek siedzącego trybu życia — biodra i brzuch.

Ćwiczenie I: W pozycji leżącej na plecach z rozkrzyżowanemi ramionami, wyrzucamy lewą nogę i przez skręt tułowia staramy się dotknąć ręką prawą palców stopy lewej. Powtórzyć 10 razy każdą stopą to ćwiczenie.

Ćwiczenie II: W pozycji leżącej na brzuchu z ramionami wzdłuż ciała, podnosimy kolejno nogi ku górze, przyspieszając ruchy coraz bardziej do 20-tu razy.

Ćwiczenie III: Klęcząc na jednem kolanie, opieramy dłonie przed sobą na podłodze. Drugą nogę wyciągamy to wstecz to ku przodowi bez uginania jej w kolanie. Powtarzamy po 10 razy ten ruch każdą nogą.

Ćwiczenie IV: Stojąc z ramionami wspartemi o biodra, unosimy prawą nogę przed siebie, zginając ją w kolanie. Następnie odchylamy ją silnie w prawo, aby utworzyła w biodrze kąt prosty i powracamy do pozycji wstępnej ugiętego kolana. Ruch ten powtarzamy 10 razy dla obu nóg.

Ćwiczenie V: W pozycji poprzedniego ćwiczenia, krzyżujemy nogi i zataczamy każdą z nich koło dla zmiany skrzyżowania. Powtarzamy to 10 razy każdą nogą.

Ćwiczenie VI: Z pozycji leżącej na wznak na raz wznosimy tułów, na dwa kurczymy nogi i zbliżamy do piersi, przenosząc równocześnie ręce między kolana.

Ćwiczenie VII: W pozycji leżącej na plecach z rozkrzyżowanemi ramionami podnosimy głowę i kolano silnie zgięte, aby się zetknęły ze sobą. Powtarzamy 4—6 razy każdą nogą.

Ćwiczenie VIII: Leżąc na plecach z wyciągniętemi poza głowę ramionami unosimy lewą nogę do góry, zginając ją w biodrze pod kątem prostym i pozostawiamy ją w ten sposób tak długo, dopóki nie wykonamy 4—6 uniesień głowy z ramionami ku górze, aby palcami rąk dotykać nogi. Tak samo ćwiczymy z uniesioną w górę nogą prawą.

Ćwiczenie IX: W pozycji stojące robimy silny opad tułowia w przód z opuszczonemi ku ziemi ramionami i ściśniętemi nogami. Ćwiczymy balansowanie ramion od dołu ku górze i wstecz, przyczem wyprostowujemy plecy i głowę. W momencie przechodzenia od skłonu do wyprostowania postaci, tułów i ramiona muszą stanowić jedną linję poziomą, w której zatrzymujemy się na chwilę. Powtarzamy ćwiczenie 6—10 razy.

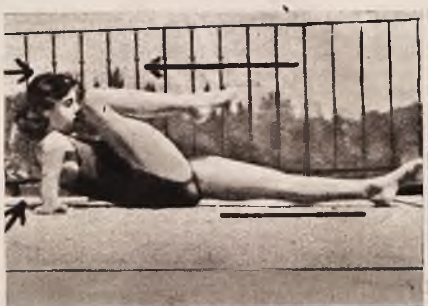
Ćwiczenie X: Klęcząc, opieramy się na wyprostowanej prawej ręce, unosząc prawą nogę i lewe ramię jak najsilniej ku górze, przyczem linja grzbietu i głowy oraz wyciągniętej ręki i nogi staje się wybitnie łukowa. Zmiana nogi i ręki: podnosimy prawą i lewą nogę. Powtarzamy ćwiczenie 4—6 razy dla każdej ręki i nogi. **Vera.**



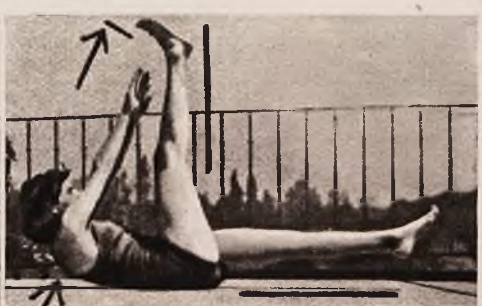
Ćwiczenie czwarte.



Ćwiczenie piąte.



Ćwiczenie siódme.



Ćwiczenie ósme.



Ćwiczenie szóste.



Ćwiczenie dziewiąte.



Ćwiczenie dziesiąte.

WRACAMY DO MIASTA

Koniec sierpnia to koniec wakacyj. Dnie coraz krótsze, coraz chłodniejsze — słońce świeci jeszcze, ale często zasnuwa się w welony pierwszych mgieł jesiennych. Piękna pani myśli o powrocie do miasta. Przez parę tygodni wypoczywała, opalała się, używała sportów i spacerów — ale zwolna zaczyna ją to wszystko nudzić, a monotonja i bezczynność życia letniskowego dawać się we znaki.

Wybiera się więc do miasta — tak tylko zaglądnąć — na jeden dzień. Po powrocie już w głębi duszy żywi gotową decyzję. Pierwsze deszczowe dnie i znosi się walizki — wracamy!

Powakacyjny powrót do miasta, to jeden z najmilszych momentów w roku. Wypoczęte nerwy przyjemnie reagują na ruch, gwar, wystawy, neony, pełne lokale. Teatry i kina wabią nieprzeparcie. A jak miło odnaleźć przyjaciół i znajomych, opowiadać, dzielić się przeżyciami tych kilku tygodni rozłąki. A potem zaczynają się wędrówki po magazynach, przeglądanie żurnali, rewje mody jesiennej, narady z krawcem, modniarką itp.

O modzie zbliżającego się sezonu zimowego, niewiele jeszcze można powiedzieć. Jeszcze nie odbyły się wielkie pokazy mody w Paryżu, w pracowniach wielkich krawców na rue de la Paix i na Champs Elysées nowa moda dopiero zyskuje ostatni swój szlif, zanim zabłyśnie w całym swym blasku. Narazie możemy odświeżyć swoją garderobę na wczesną jesień prowizorycznie, zanim usłyszymy wyroki mody, które obowiązywać nas będą przez cały sezon zimowy.

Wracając z końcem lata do miasta, możemy się spodziewać jeszcze wielu dni słonecznych i ciepłych, a nawet upalnych. Jednak nie wszystkie lekkie suknie z naszego letniego repertuaru dadzą się nosić u progu jesieni. Płótna, pika i shantungi trzeba będzie zastąpić lekką i przewiewną wełną, najlepiej w naturalnym odcieniu „grege", kolorze surowego jedwabiu, który nie opatruje się szybko i można go odmieniać przez dobieranie dodatków w coraz to innych barwach. Do sportowej sukienki czy kostjumu w odcieniu grege ładnie będzie wyglądał pasek, szal i torebka w kolorze zielonym, albo lekki płaszczyk w jesiennym odcieniu rdzawym lub pięknym stalowo-niebieskim. Dodatki żywo czerwone lub czerwono-granatowe wyglądają również bardzo ładnie.

Na spacery i footing poranny będziemy nosić, zależnie od pogody, kostjum — ten sam, który sprawiłyśmy na wiosnę. Ale postaramy się nieco odmienić jego wygląd: do kostjumu brązowego lub beige sprawimy sobie bluzkę z cienkiego kaszmiru w szkocką kratę rdzawo-zieloną, lub bluzkę jednobarwną w jednym z tych odcieni. Zielony kostjum uzupełnimy kamizelką zamszową, czy nawet duwetynową w ciepłym brązowym lub brudno-żółtym odcieniu, dobierając do niej barwę sportowego filcowego kapelusza. Czarny kostjum popołudniowy przybierzemy odrobiną futra karakułowych łapek lub breitschwanzów.

W ciepłe słoneczne dnie będziemy nosić popołudniu suknie raczej ciemne, czarne lub granatowe, odkładając już zbyt kolorowe letnie „imprimés". Czarna suknia z bolerkiem i szeroką szarfą z błyszczącego satin — to jeden z najmodniejszych typów popołudniowego stroju.

Na dnie chłodniejsze i pochmurne trzeba mieć luźny płaszcz sportowy z miękkiego tweedu w szeroką kratę, przybrany zamszem jednobarwnym lub odmiennego koloru kaszmirowym szalem. Duże guziki i kieszenie uzupełniają całość.

Jeśli chodzi o modne u progu jesieni kolory, to prym trzymają wszystkie odcienie szare, popielate, krecie i brązowawe, szaro-zielone barwy mchowe i stalowo-niebieskie. Modne są również w dalszym ciągu odcienie czerwonego wina, brudno-fiołkowawy kolor, zwany „myrtille" i brudno-liljowo-cyklamenowy.

O jesiennych kapeluszach napiszemy osobny artykuł. Dziś już możemy powiedzieć, że podstawę jesiennych kolekcji stanowi i w tym roku filc.

Lady Like.



Na lewo: Model efektownej sukni popołudniowej.

Poniżej: Przebojem tegorocznej mody jesiennej jest czarna spódniczka i wcięty jasny żakiecik, obszyty jedwabnym sznurem. — Model: Creed. Paryż.

Poniżej od lewej: Popołudniowy kostjum z czarnego jedwabiu, złożony z kloszowej spódniczki, krótkiego bolerka i jasnej bluzeczki w paski. — Przy końcu sierpnia już może nam się przydać ciepły płaszczyk z angielskiej wełny.







Na prawo: Kostium flanelowy w prążki, to strój do miasta zawsze odpowiedni i elegancki. (Rysunek u góry: Suknia z matowego jedwabiu i takież bolerko, wykończone białymi ząbkami. Rysunek u dołu: Paryżanki noszą w mieście najchętniej suknie czarne, przybrane białym).

Rysunki: EWA LEO



P R Z E P I S Y

odnoszące się do naszego kalendarzyka obliczone na 3—4 osoby.

ZUPA POMIDOROWA NA ZIMNO. 25 dkg pomidorów rozgotowuje się z małą ilością wody, następnie przeciera przez sito i ostudza. Funt mięsa zalewa się litrem zimnej wody, dodaje odpowiednie jarzyny oraz łyżeczkę soli i gotuje na tęgi rosół, który się następnie ostudza tak, aby można z niego zebrać tłuszcz na powierzchni osiadły. Do czystego rosołu dodaje się masę pomidorową oraz 4 łyżki gęstej, kwaśnej śmietany, miesza dokładnie, nalewa w filiżanki i zastudza na lodzie. Przed podaniem wsypuje się do każdej filiżanki łyżeczkę pokruszonego twardego żółtka.

ZIELONA PAPRYKA FASZEROWANA. 6 dużych zielonych papryk wydrąża się z ziarn i włókien, wymywa je wewnątrz starannie, następnie napełnia nadzianką sporządzoną z kilku łyżek ugotowanego na sypko ryżu, zmieszanego z mięsem wieprzowem w dowolnej ilości oraz łyżką usmożonej cebulki. W miejsce mięsa surowego użyć też można pozostałą pieczeń wołową lub wieprzową wraz z sosem, w którym to razie odpadnie dodatek smażonej cebulki. Napełnione papryki układa się ciasno w rynce na maśle, podlewa rosołem i dusi na wolnym ogniu. W międzyczasie przygotowuje się gęsty sos pomidorowy z 25 dkg pomidorów i zasmażki z łyżki masła i tyleż mąki. Przetartym sosem zalewa się papryki i dodusza je w tymże sosie. Wyłożone na półmisek papryki otacza się ryżem ugotowanym na sypko.

PRZYSTAWKA Z NERKI CIELĘCEJ I MLECZKA. Nerkę wraz z tłuszczem oraz mleczko odjęte z mostka cielęcego dusi się na maśle z cebulką, następnie przemiela wraz z kawałkiem bułki rozmoczonej w mleku i dobrze wyciśniętej. Dodawszy soli, odrobinę pieprzu i gałki muszkatułowej miesza się masę przez chwilę. Łyżkę masła i mąki zasmaża się na ogniu, zalewa łyżką mleka i zagotowuje na gładką masę, z którą po wystudzeniu miesza się sos z pod duszonych nerek, 1 całe jaje i 1 żółtko, zmielone mięso i łyżeczkę siekanej zielonej pietruszki lub roztartą sardelkę. Z masy dobrze wymieszanej formuje się krótkie wałeczki, które się osypuje tartą bułką i osmaża na maśle. Masę można też nakładać na muszelki, posypać smażoną bułeczką i zapiec w piecyku przez kilka minut.

KURCZĘTA A LA JARDINIÈRE. Oczyszczone, wymyte i natarte sokiem cytrynowym kurczęta, kraje się w ćwiartki, które się szybko osmaża na maśle. Do rynki z dokładnie dopasowaną pokrywką (tz. maszynki), daje się łyżkę masła oraz drobno pokrajane jarzyny, tj.: kilka karotek, trochę fasolki szparagowej, jedną zieloną paprykę, kawałek włoskiej kapusty, garstkę groszku zielonego i parę pomidorów obciągniętych ze skórki itp. Osmażone ćwiartki kurczaków układa się na jarzynkach, posypuje solą i pieprzem, dorzuca kostkę cukru, zamyka maszynkę pokrywą i dusi na bezpiecznem od przypalania miejscu blachy. Od czasu do czasu potrząsa się tylko lekko naczyniem, aby się jarzyny równo dusiły. Gotowe kurczaki układa się na półmisku i otacza je jarzynkami oraz świeżo ugotowanemi ziemniaczkami lub ryżem.

SAŁATA Z DYNI. Kawałek dyni kraje się drobno i parzy wrzącym octem. Po 30 minutach wyciska się jarzynę z octu i zaprawia jak każdą sałatę oliwą, solem i cukrem. Dla amatorów dodać też można drobno posiekaną cebulkę lub szczypiórek.

NAPÓJ DLA TURYSTÓW (recepta amerykańska). Do porcelanowego czajnika wsypuje się: 3 łyżeczki aromatycznej herbaty, strączek wanilji pokrajany w kawałki, po dwa grube płatki cytryny i pomarańczy oraz 10 dkg cukru lodowatego wzgl. krystalicznego. Wszystko zalewa się pół litrem wrzącej wody, nakrywa szczelnie i pozostawia przez dwie godziny w spokoju, poczem dolewa się jeszcze trzy czwarte litra wrzącej wody i odstawia do wystudzenia. Napój ten, scedzony z dodatków, używany być może na gorąco, lub też zimny zabrany w termosie na wycieczki.

LEGOMINA RYŻOWA Z GRUSZKAMI. Filiżankę ryżu parzy się wrzącą wodą i osącza na sicie. Dwie i pół filiżanek mleka rozgrzewa się, dodaje osączony ryż i gotuje pod pokrywą do miękkości. 10 dkg cukru praży się z łyżką masła na jasno brązowy kolor, zalewa łyżką wody i rozprowadza na ogniu na karmel, który się miesza z ryżem. Ogniotrwałą formą nakłada się połową przygotowanego ryżu, daje na nią gruszki osobno uduszone z cukrem, kropi rumem i sokiem cytrynowym, przykrywa drugą połową ryżu, a na wierzch nakłada się masę merengową, ubitą z 2—3 białek i 5 dkg cukru pudru. Legominę osypaną grubym cukrem krystalicznym, zmieszanym z troszką tłuczonych migdałów, wstawia się na 15 minut do piecyka. Podaje się w tem samem naczyniu na gorąco.

TORT BISZKOPTOWY Z BITĄ ŚMIETANĄ. 14 dkg cukru pudru z wanilją uciera się doskonale z 4 żółtkami, dodaje się dwie łyżki wody i pianę z 4 białek. W końcu dosypuje się 16 dkg sypkiej mąki, zmieszanej z łyżeczką proszku do pieczywa. Ciasto dobrze wymieszane piecze się w okrągłej formie tortowej, wysmarowanej masłem i wysypanej mąką. Upieczony biszkopt przecina się na trzy płyty, które się przekłada bitą śmietaną, zestawia z powrotem w całość i oblewa glazurą czekoladową.

Sc. Ko.



PRAKTYCZNE

WSKAZÓWKI

DLA PAŃ DOMU:

Chcąc uniknąć przyklejania się żelazka do krochmalonej bielizny, należy dosypać trochę soli do rozrobionego na talerzu krochmalu. Uniknie się przez to zanieczyszczenia gładkiej powierzchni żelazka, która tylko idealnie czysta może skutecznie spełniać swe zadanie.

7 ✦ DNI ✦ DOBREJ ✦ GOSPODYNI

Z dwóch głównych dań obiadu jedno może być w skromniejszych gospodarstwach opuszczone.

Święta rzym.-kat.	Tydzień 35 **Sierpień** Dni 31
Niedziela **27** Przen. św. Kaz.	 Zupa pomidorowa zimna.Przystawka z mleczka i nerki cielęcej.Kurczę z maszynki "à la jardinière".Tort biszkoptowy z bitą śmietaną. Kolacja:Pasztet z sałatką.
Poniedziałek **28** Augustyna	Kanapki jarskie w miejsce zupy.Kasza krakowska wypiekana z jajami.Prędkie rozbratle z ogórkami.Kompot mieszany. Kolacja:Faszerowana papryka z ryżem.
Wtorek **29** Ścięcie św. Jana	Rosół z grzybkiem omletowym.Sztuka mięsa z sosem ćwikłowym.Pieczeń sarnia z makaronem i czerwoną kapustą na winie.Kisiel malinowy. Kolacja:Grzybki na śmietanie.
Środa **30** Róży z Limy	Zupa "Julienne".Marchewka z groszkiem i grzankami.Mostek cielęcy nadziewany z ziemniaczkami.Dołki z konfiturami. Kolacja:Fasolka szparagowa w białym sosie.
Czwartek **31** Rajmunda wy.	Zupa groszkowa z płatkami.Ogórki faszerowane.Pieczona kaczka z kapustą parzonką.Knedelki z śliwkami. Kolacja:Kasza hreczana z kefirem.
Piątek **1** Idziego op.	**Wrzesień** Dni 30 Krupnik na śmietanie.Makaron z sosem pomidorowym.Pstrągi na niebiesko. Legomina ryżowa z gruszkami. Kolacja:Sałatka śledziowa,sery etc.
Sobota **2** Stefana	Barszcz z uszkami.Włoska kapusta faszerowana.Kotlety wieprzowe duszone z kminkiem. Jabłka w szlafroku. Kolacja:Pasztet sarni na ciepło. 

HOCKI-KLOCKI

PAN Z PROWINCJI.



— Czy wszyscy zatrzymali samochody dlatego, że tam w oknie ubiera się młoda dziewczyna? „Esquire".

ROZRYWKI UMYSŁOWE

IMPRESJONIŚCI FRANCUSCY.

Jeden z testów badań inteligencji, który nam wczoraj dano do rozwiązania, był niezmiernie ciekawy. Pokazano nam 5 reprodukcyj obrazów impresjonistów francuskich: Dégas, Cézanné, Matisse, Picasso i Renoir. Reprodukcje oznaczono kolejno cyframi od 1 do 5. Miałyśmy rozpoznać, kto był autorem każdego z pięciu obrazków.

Kasia twierdziła, że numer 1 malował Renoir, 2 — Matisse, 3 — Picasso, 4 — Dégas, 5 — Cézanné.

Basia uznała, że reprodukcję pierwszą malował Matisse, 2-gą — Picasso, 3-cią — Renoir, 4-tą — Dégas, 5-tą — Cézanné.

Lusia: 1 — Dégas, 2 — Picasso, 3 — Renoir, 4 — Cézanné, 5 — Matisse.

Dorotka: 1 — Cézanné, 2 — Matisse, 3 — Dégas, 4 — Picasso, 5 — Renoir.

Mania: 1 — Dégas, 2 — Picasso, 3 — Matisse, 4 — Renoir, 5 — Cézanné.

Jakiemi numerami oznaczono reprodukcję pięciu malarzy francuskich?

KTO PIERWSZY.

Trzech chłopców siedziało nad brzegiem morza, kiedy ktoś nagle wystrzelił. Pierwszy chłopiec usłyszał strzał, drugi zobaczył błysk, a trzeci — rozbryzgi wody przy zetknięciu się kuli z powierzchnią morza.

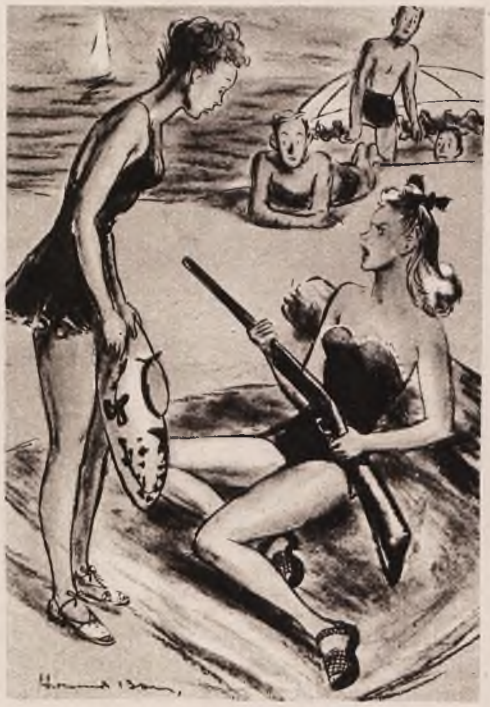
Na podstawie wyżej podanych faktów należy zgadnąć, który z chłopców pierwszy zdał sobie sprawę, że ktoś strzelał.

DZIEWIĘĆ PIŁEK.



Dziewięć piłek ułożono tak jak to wskazuje rysunek: 3 z nich są czerwone, 3 — białe, a 3 — niebieskie; każda czerwona dotyka białą piłkę, każda, biała — niebieską, a każda niebieska — czerwoną. Proponujemy Czytelnikom zaznaczyć na rysunku rozmieszczenie piłek w zależności od ich barw.

OBRONA NIEKONIECZNA.



— Obecność mego męża już nie odstrasza natrętnych donżuanów plażowych... „Esquire".

Dokończenie ze str 15-ej.

larwy o kształcie liścia, nie przypominające swych rodziców. Przez długi też czas uważano je za zupełnie odmienny gatunek ryb, który nazwano **Leptocephalus.** Tymczasem te leptocefale z biegiem czasu ulegały stopniowym zmianom rozwijając się wreszcie w małego przeźroczystego jeszcze węgorzyka, przypominającego kształtem ciała osobnika dorosłego.

Rozpoczyna się wędrówka odwrotna — ku rzekom. Trzy lata trwa ona, aż wreszcie docierają młode węgorzyki do ujść, skąd nastąpi dalsza wędrówka przeciw prądowi, by po kilkuletnim pobycie powrócić znowu do swej ojczyzny — Sargasso. Tam kres ich dędrówki. Nie wracają już więcej do wód słodkich, nie stwierdzono też ich obecności w oceanach. Albo żyją na dnie wielkich głębin Morza Sargassowego lub po spełnieniu swego, nieomylnym instynktem nakazanego obowiązku — giną.

Podobny jest cykl rozwojowy i węgorzy amerykańskich, które również odbywają tarło w głębinach Morza Sargasso. Lawry ich jednak rozdzielają się od europejskich, podążając do rzek Ameryki.

Czem kierują się w swej dalekiej wędrówce węgorze i ich larwy? — Oto pytanie, na które dotąd nauka nie dała jeszcze wystarczającej odpowiedzi. Nie wiemy jeszcze dokładnie, czem jest ten przepoitężny instynkt, kierujący nieomylnie tak wieloma czynnościami zwierząt.

Pewne światło na tajemnicę Morza Sargasso rzuca geologia. Przed wieloma dziesiątkami miljonów lat obszar dzisiejszego Morza Sargasso zajmował ląd, będący częścią wielkiego kontynentu północno-atlantyckiego; dopiero przez jego obniżenie powstał Atlantyk północny. Tem tłomaczyłyby się przybrzeżny charakter i odrębność niektórych gatunków świata roślin i zwierząt w porównaniu z wybrzeżami Europy i Ameryki, to mogłoby również tłumaczyć do pewnego stopnia i wędrówki węgorzy z dwóch kontynentów, które w minionych epokach geologicznych łączyły się z kontynentem północno-atlantyckim. W Morzu Sargasso zachowały się właśnie te gatunki, które potrafiły się przystosować do zmienionych warunków. Wywędrować musiały ze zmianą warunków węgorze, których praojcowie przed miljonami lat zamieszkiwali wody ówczesnego lądu Atlantyckiego. Do miejsca swej dawnej ojczyzny przybywają jedynie dla spełnienia najważniejszego zadania życiowego każdego istnienia: utrzymania gatunku.

Omijane dawniej Morze Sargasso staje się dzisiaj celem podróży uczonych i badaczy, których prace i dociekania starają się odsłonić jaknajwięcej tajemnic tego mało znanego jeszcze obszaru globu ziemskiego.

Dr. M. K.

Dokończenie ze str. 20-ej.

z widmami piekielnemi pono walczył. Syn jego gdy z cesarskimi na pole zstępował i skrzyżować z wrogiem szabli nie zdołał, bo koń jego charkotu jakowegoś konającego się ustraszył i wbok skoczywszy jeźdźcem o ziem prasnął aże kark mu się przełomił. Mateusz niewiela wieść o śmierci syna przeżył i śród mąk okrutnych a przekleństw ohydnych marny żywot zakończył. Znać Bóg nie chciał by ktoś z owego niecnego gniazda za wiarę stawał. Zaiste słowa Pani Anny ziściły się straszliwie a pewnoć i onemu czwartemu Mateuszowemu synowi żywot nie jest lekki".

Pozostałej części rękopisu jako niewiążącej się z przeżyciami Maćka nie przytaczam. Skończywszy czytać zastanawiałem się nad możliwie najoględniejszem wypowiedzeniem swojego zdania o całej tej sprawie, niewątpliwie mającej dla samopoczucia Maćka doniosłe znaczenie. Nie było to łatwe, bo choć na zdrowy rozum rzecz biorąc, trudno byłoby uzasadnić związek między wypadkami z przed kilku stuleci a teraźniejszemi, to jednak w mojem przekonaniu on istniał i gdybym coś przeciwnego usiłował twierdziś nie uszłoby to uwadze Maćka. Nieoczekiwanie jednak on sam przyszedł mi z pomocą mówiąc z uśmiechem:

— Daj spokój, poznaję po twej minie nad czem się głowisz. Tak jak było do przewidzenia, porównawszy moje losy z losami Mateusza doszedłeś do wniosku, że jestem człowiekiem nieszczęśliwym, bo ciąży nademną przed wiekami rzucona klątwa. Mój drogi! Istotnie między mną a nim jest bardzo duże podobieństwo fizyczne i psychiczne a nawet do pewnego stopnia i w przebiegu życia, jednak jest także jedna wielka zasadnicza różnica, która decyduje o mojem nastawieniu do tej sprawy. A mianowicie Mateusz wierzył w siłę przekleństwa, ja natomiast nie wierzę w nic, nie wierzę w tą siłę, ani w żadną formę życia pozagrobowego, a więc i w reinkarnację i dlatego cała ta sprawa jest dla mnie tylko i wyłącznie ciekawym zbiegiem okoliczności, oryginalną przygodą, niczem więcej.

Umilkł a ja skorzystałem z tego by przeciąć rozmowę na ten kłopotliwy temat i nie musieć wypowiadać swego zdania.

— Kiedy zamierzasz wracać do Kapstadu?

— Nigdy. Nie chcieli mnie zwolnić, zdezerterowałem więc. Ten odcinek życia jest już przekreślony, muszę raz jeszcze odnowa je zaczynać!

O tak! - to warto...



...usłyszeć

Program radjowy:

Niedziela, dn. 27 VIII.

9.00 Transmisja nabożeństwa z Inowłodza k. Spały.
12.03 Poranek muzyczny — transm. ze studia na D. W. R.
16.30 Vincent d'Indy: Trio.
17.30 Podwieczorek przy mikrofonie — trasm. z Bagateli.
19.00 „Karol Marcinkowski" — słuchowisko St. Wasylewskiego.
20.55 Transmisja z meczu piłkarskiego Polska — Węgry.
21.35 „10 lat muzyki filmowej".

Poniedziałek, dn. 28 VIII.

14.45 Z rejsów „Zawiszy Czarnego".
16.20 Recital śpiewaczy Heleny Lipowskiej.
18.00 Muzyka baletowa — transm. ze studia na D. W. R.
21.00 Recital skrzypcowy Ireny Dubiskiej.
21.30 „Echa mocy i chwały".
22.00 Muzyka do tańca.

Wtorek, dn. 29. VIII.

16.20 Współczesne sonatiny fortepianowe w wyk. E. Roslera.
17.00 Muzyka do tańca.
18.45 Pieśni w wykonaniu Franciszki Platówny.
21.05 Koncert symfoniczny z okazji Tygodnia Muzycznego w Lucernie — transmisja ze Szwajcarji.

Środa, dn. 30 VIII.

15.15 Muzyka popularna — transm. ze studa na D. W. R.
16.45 Życie wszechświata — odczyt.
17.00 Muzyka do tańca z café „Paradis".
18.000 Muzyka baletowa — transm. ze studia na D. W. R.
21.00 Koncert chopinowski.

Czwartek, dn. 31. VIII.

16.20 Taneczne pieśni ludowe.
16.45 „Świadkowie dawnej chwały" — reportaż z muzeów.
21.00 Miniatury skrzypcowe w wykonaniu W. Niemczyka.
22.00 Pieśni i arje angielskie — w wyk. Ewy Bandrowskiej-Turskiej.
23.15 Koncert kameralny muzyki polskiej.

Piątek, dn. 1. IX.

15.00 Muzyka popularna z Katowic.
16.20 Karol Szymanowski: Warjacje na temat Polski w wyk. Alfreda Müllera — fortepian.
18.00 Kołysanki i serenady śpiewa Sława Gogojewicz.
21.25 A. Borodin: Kwartet smyczkowy D-dur.
21.55 Wiktor Hugo o Polsce szkic literacki.

Sobota, dn. 2. IX.

15.40 Transmisja z otwarcia Targów Wschodnich we Lwowie.
17.000 Muzyka do tańca z Café Clubu.
19.00 „Podróż do wnętrza materji" — „Spotkanie z demonem Maxwella" — powieść mówiona.
21.00 J. Strauss — „Fanny Elssler — operetka ze studia na D. W. R.
23.20 Muzyka do tańca z Café Clubu.

...zobaczyć

Teatry:

WARSZAWA „Wesele Fonsia" TEATR NARODOWY. Teatr narodowy wystawia obecnie jedną z najweselszych polskich krotochwil „Wesele Fonsia" Ruszkowskiego w reżyserji K. Borowskiego. Krotochwila Ruszkowskiego przedstawia galerję przezabawnych typów i typków ze środowiska mieszczańskiego z końca ubiegłego wieku. Niefrasobliwy humor poszczególnych scen powoduje na widowni serdeczny śmiech. Główną rolę, graną w Teatrze Polskim przez Fertnera, powierzyła dyrekcja Teatru Narodowego jednemu z ulubionych komików polskich, Adolfowi Dymszy. Resztę obsady stanowią pp.: M. Dulęba, W. Jarszewska, A. Żeliska, Z. Niwińska i pp. Solarski, Żukowski, Łapiński, Karowski, Krzemiński i Kański.

LUBLIN „Teatr Lubelski i COP-u". W Lublinie powstaje teatr objazdowy pod nazwą „Teatru Lubelskiego i COP-u". Obejmie on swoim zasięgiem następujące miejscowości: Lublin, Lubartów, Łuków, Puławy, Dęblin-Irena, Pionki, Radom, Skarżysko, Kamienną, Wierzbnik, Starachowice, Ostrowiec Świętokrzyski, Sandomierz, Tarnobrzeg, Stalową Wolę, Nisko, Janów Lubelski, Kraśnik, Chełm Lubelski, Hrubieszów, Siedlce, Radzyń, Włodawę, Tomaszów Lubelski i Krasnystaw. W sezonie przyszłym „Teatr Lubelski i COP-u" wystawi 18 sztuk dramatycznych (w tem 3 przewidziane są dla szkół) oraz 3 opery.

POZNAŃ „Nitouche" TEATR LETNI „Teatr Letni" w ogrodzie zoologicznym wystawił ostatnio znaną operetkę „Nitouche" Hervego. Zespół jest wprawdzie złożony z sił młodych, ale doskonale zgranych. Na czoło wykonawców wysunęła się Marja Wolińska w roli „Nitouche", wykazując dużą swobodę sceniczną i ujmując widzów swym miłym głosem. Partner jej O. Moliński w roli Celestyna zdobył się na dużo werwy. Najweselszym z wykonawców ról epizodycznych był p. Konarski, stwarzając doskonałą postać rekruta Loriot. Do poziomu ich dostroili się pozostali członkowie obsady w osobach: pp. Wesołowskiego, Nowakowskiego i Rosińskiego, tak, że cel został w zupełności osiągnięty. Publiczność bawiła się doskonale. Jest to ostatnia sztuka grana przez ten teatr przed udaniem się na objazd kresów pod nazwą poznańskiego „Teatru Peryferyjnego".

St. St.

...przeczytać

Nowe książki:

Urocza encyklopedja. „Świat i życie".

Określenie conajmniej dziwne, pomyśli Czytelnik. Encyklopedja może być głęboka, wyczerpująca, wszechstronna, ale urocza? Cóż to za urok dzieła, w którym wszystkie fakty są podane w jak największych skrótach, rzeczowo, beznamiętnie, schematycznie?

Otóż właśnie jeżeli tak jest z innemi encyklopedjami to absolutnie te określenia nie odnoszą się do encyklopedji „Świat i Życie", której piąty tom wyszedł właśnie nakładem Książnicy Atlas. Ani schematyzm, ani szablonowość, ale za to aktualność, doniosłość i oryginalność to były wytyczne, któremi kierowali się redaktorzy tego dzieła prof. Łempicki i dr Chorowiczowa. Nie trzeba dodawać, że każdy artykuł encyklopedji wyszedł z pod pióra znawcy przedmiotu, ale warto zauważyć, że takich dobrano znawców, którzy umieli napisać pięknie i zajmująco, tak, że pierwsze zdania artykułu ciągną w jego głąb.

Cztery tomy encyklopedji są zbiorem dużych artykułów i rozpraw, natomiast piąty jest alfabetycznem repetitorjum wszystkich „sciencyj" wyłożonych w poprzednich z dodaniem wszelkich innych wiadomości. Tak więc całość jest samowystarczalna (w znaczeniu encyklopedycznem). Jednak niektóre tematy zostały potraktowane con amore. Wymieńmy np. kilka najciekawszych haseł pierwszego tomu: abecadło, afekt, akcent, alchemja, aktor, alkoholizm, ambasador, ambicja, analfabetyzm, Antarktyda, apostołowie, apteka, archiwum, arjanie polscy, arjowie, arogancja... itd. itd. Weźmy np. taki artykuł: „Arogancja". W jakiejś dużej encyklopedji byłaby podana definicja — kilka wierszy i koniec. Tutaj mamy mądrą i głęboką rozprawkę, bo napisaną przez znakomitego profesora Witwickiego.

Każdy tom ma dwa dodatki. Jeden — to pokaźną ilość ilustracyj wykonanych rotograwurą (niekiedy kolorowane) na doskonałym papierze, a drugi dodatek to curiosa obejmujące rozmaite fakty z dziedziny przeważnie obyczajowej. Jest to jeszcze tem lżejszy kaliber encyklopedji, który zapewnie największej będzie czytany.

Encyklopedja „Świat i Życie" napewno nie będzie tylko zdobić naszych półek.

Ludwik Tomanek.

AS Nr. 35

Kompozycyj nadesłanych do działu Muzycznego „Asa" nie honoruje się ani co do części muzycznej ani też tekstowej. — Niezamówionych materjałów Redakcja nie zwraca. — Reklamacje w sprawie nieotrzymania lub późnego doręczania egzemplarzy należy wnosić niezwłocznie, pisemnie do Urzędu Pocztowego (doręczeniowego), a nie wprost do Administracji. — Zakłady Graficzne „Ilustrowanego Kuryera Codz.", Kraków, ulica Wielopole 1, pod zarządem dyr. Fr. Czajki. — Miejsce wydania: Kraków, Wielopole 1.